

WYGLAD ZAGRANICZNY

FORUM

1/1989
(3)



CZŁOWIEK ROKU 1988

agora

PRZEGLĄD ZAGRANICZNY

SPIS TRESCI

Carnes Lord "Czy każdy SALT II?"	3
Michael Fumento 'Centrum dezinformacji obrony"	10
Merle Falcoff "Otwieranie drogi komunizmowi w Ameryce Środkowej"	28
Paul Hollander "Więzienie socjalistyczne a zniewolone umysły" ..	50

WYDAWNICTWO
WARSZAWA
CENA 400 ZŁ

BAZA

Dziękujemy T.Lic. za książki i czasopisma

CZY KAŻDY SALT II?

Czy obecnie wszyscy w równym stopniu wpływamy na kontrolę zbrojeń? Kiedyś, kiedy ten temat wydawał się o wiele prostszy, jeden z głównych dowódców SAC /Dowództwo Lotnictwa Strategicznego/ porównał wszelkie próby czynione w tym kierunku do jednoczesnego ubierania i rozbierania się. Sceptycyzm taki stał się jednakże bardzo niemodny wśród współczesnych szefów wojskowych, nie wspominając już o akademickich i politycznych elitach. Osiem lat temu wydawać się mogło, iż ewentualne dwie kadencje konserwatywnych rządów w Waszyngtonie zmienią tę sytuację. W rzeczywistości jesteśmy obecnie świadkami, jak najbardziej konserwatywny prezydent USA naszych czasów wykreował się na orędownika dalekosiężnych planów rozbrojeniowych.

Co więcej, wygląda na to, iż doprowadził on na pole kontroli zbrojeń całe konserwatywne stadko. Sądząc z tego, co mówi się w Kongresie na temat porozumienia w sprawie broni średniego zasięgu /INF/ oraz z towarzyszącą temu porozumieniu publicznej reakcji, konserwatyści podpisali się pod czymś, co stanowić ma nową narodową zgodę w kwestii amerykańsko-sowieckich stosunków militarnych. Głosy republikanów wątpiących w mądrość powyższych planów: jakie podniosły się w pierwszej fazie obecnych wyborów prezydenckich /byli wśród nich Kemp, Robertson, du Pont, Haig/ ucichły, gdy okazało się, że hasło "give peace a chance" - dajcie szansę pokojowi i popierajcie INF, podniesione przez Georga Busha, zyskało poparcie nawet w gronie konserwatystów. Jeszcze Jesse Helms z nieliczną grupką zwolenników próbował argumentować na forum Senatu - bez widocznego rezultatu. Ostrzeżenia płynące ze strony intelektualistów padły w próżnię. Jak na ironię, znacznie ostrzejsze sądy formułowali tacy ludzie jak np. H. Kissinger niż ci, którzy reprezentują mocno prawicowy punkt widzenia.

Szczerze mówiąc, większość z tych pozornych paradoksów znajduje swoje źródło w nieomal ojcowskim stosunku konserwatystów nie tylko do układu INF, ale do kontroli zbrojeń w ogóle. Dwie główne części obecnego porozumienia to daleko idące redukcje istniejącego arsenału oraz wiarygodna ich weryfikacja.

Ciekawe, iż obie te sprawy były swego czasu mocno krytykowane przez konserwatystów. Wystarczy wspomnieć burzliwą debatę w 1970 r. tyczącą się porozumienia USA - ZSRR w dziedzinie zbrojeń strategicznych. To dotychczasowe stanowisko konserwatystów ogromna większość specjalistów uważała za nierealne, a czasem nawet za taktyczną próbę sabotażu dalszych negocjacji z Sowietami.

Sukces układu INF zmusił liberalnych krytyków do milczenia. Rzeczywiście, układ ten przeszedł najśmielsze oczekiwania ekspertów. Sowietci nie tylko zgodzili się na demontaż stosunkowo nowoczesnego systemu nuklearnego /ruchome wyrzutnie rakiet balistycznych SS-20/, ale zaakceptowali również redukcję zbrojeń, która wydaje się faworyzować USA. Zgodzili się ponadto na lokalne kontrole i inne wspólne inspekcje. O tym wszystkim jeszcze kilka lat temu fachowcom nawet się nie śniło.

Aby w pełni zrozumieć nastroje panujące obecnie wokół kontroli zbrojeń, należy wziąć również pod uwagę tzw. rewolucję Gorbaczowa. Nowy sowiecki przywódca zmienił reguły gry inicjując reformy wewnątrz ZSSR oraz przyklepiając sowieckiej polityce zagranicznej wizerunek gołębia. Wycofanie się Sowietów z Afganistanu usunie drażliwy punkt w stosunkach między USA a ZSSR. Problem ten był przecież powodem upadku inicjatywy SALT II w 1980 r. Tak więc zasięg i wyrafinowanie sowieckich ofert wywierają wpływ zarówno na USA jak i na Europę Zachodnią, popychając rządy tych krajów w kierunku nowych porozumień rozbrojeniowych, które w efekcie jeszcze bardziej osłabią zachodnich sojuszników. Wszystko wskazuje na to, że nadchodzące miesiące przyniosą nowy układ w sprawie zbrojeń strategicznych. Trwają jednocześnie intensywne prace przygotowujące eliminację broni chemicznej i broni nuklearnej krótkiego zasięgu, zakaz nuklearnych testów i drugie ogólne ograniczenie sił konwencjonalnych w Europie.

Jeżeli to wszystko brzmi zbyt pięknie, aby mogło być prawdziwe, to jedynie dlatego, że najprawdopodobniej prawdziwe nie jest.

Należy zacząć od tego, iż od dawna sprawa kontroli zbrojeń zajmuje poczesne miejsce w planach obronnych Zachodu. Administracja Reagana rozpoczynając swe rządy w Waszyngtonie zobowiązała się, że problemy rozbrojenia nie będą rozważane osobno lecz jako integralna część strategii obronnej. Jednakże już przed końcem 1986 r. i szczytem w Reykjavíku podejście takie wyraźnie ignorowano i to się zemściło. Porozumienie Reagan - Gorbaczow zobowiązujące obie strony do eliminacji wszystkich rakiet balistycznych w przeciągu 10 lat, nie tylko nie było wcześniej dyskutowane ze sprzymierzeńcami z NATO, lecz również nie przestudowano go właściwie w samym Departamencie Obrony. Spowodowało to, iż układ INF i jego polityczno-militarne konsekwencje wprowadziły sporo niepokoju w NATO. Nie uczyniono jednak niczego, aby układ osadzić w perspektywie strategicznej i określić politykę NATO w sferze kontroli zbrojeń i w dziedzinie modernizacji armii. W tej chwili jest już prawdopodobnie za późno, aby zdołano to uczynić, zanim NATO zostanie zmuszone do podpisania kolejnej umowy.

Po drugie, bez względu na interpretację zjawiska Gorbaczowa, byłoby nierozsądnym czynić założenia, miłe skądinąd, iż gorbaczowskie "nowe myślenie" jest nam życliwe i trwałe. Istnieje natomiast mnóstwo przyczyn, aby USA żądały konkretnych dowodów, że zachodzą generalne zmiany w sowieckim podejściu do kontroli zbrojeń lub - ogólniej - do amerykańskich żądań w sferze bezpieczeństwa. Ameryka powinna upierać się przy stanowisku, iż dalsze redukcje możliwe są dopiero po przedstawieniu takich dowodów. Niestety, rzeczywistość jest inna. Uczciwie przyznać należy, że za taki stan rzeczy odpowiedzialna jest nie tylko obecna administracja. Presja polityczna jest bowiem tak silna, iż niemożliwością jest zrzucić garb kontroli zbrojeń ze swoich pleców.

Czy nie ma więc innych rozwiązań niż obecna ugoda? Nadchodząca debata nad porozumieniem START stwarza prze-

cież szansę ponownego przemyślenia naszego podejścia do spraw rozbrojenia,

Istnieją pewne powody aby konserwatyści łagodniej oceniali porozumienie w sprawie broni strategicznych. Po pierwsze, za rządów Reagana nastąpił rozwój technologiczny raket balistycznych. Silna obrona strategiczna mogłaby zmniejszyć nasze zapotrzebowanie na systemy ofensywne, a jednocześnie zapewnić podstawową ochronę przeciwko sowieckim oszustwom. Po wtóre, broń jądrowa w obecnej sowieckiej doktrynie militarnej odgrywa coraz mniejszą rolę.

Czy jednak USA są gotowe do przyjęcia układu START, który narzuca co najmniej 50-procentowe cięcia w siłach strategicznych? Można szczerze w to wątpić. Głębokie ograniczenia pociągają za sobą poważne ryzyko. Mniej broni i mniejsza ilość środków dostawczych oznacza łatwiejsze i bardziej odsłonięte cele dla Sowieców /których siły ofensywne są w każdej chwili gotowe do ataku /. Amerykański arsenał strategiczny będzie miał jeszcze mniejsze szanse niż obecnie utrzymywać w szachu sowieckie siły konwencjonalne chroniąc przed agresją Europę Zachodnią i nie tylko. Jednocześnie istnieje niebezpieczeństwo, że Sowieci wykorzystają nowy układ START, podobnie jak wykorzystali INF; aby ograniczyć bądź też całkowicie zniszczyć te konwencjonalne systemy Zachodu, które trudne są do odróżnienia od ich nuklearnych odpowiedników. Brak wiarygodnych amerykańskich koncepcji przywrócenia równowagi na poziomie konwencjonalnym, połączony z efektami pak-
tów START i INF, stawia pod znakiem zapytania skuteczność amerykańskiego tzw. "przedłużonego odstraszenia" w Europie i rozpocząć może rozpad NATO. Powyższe wątpliwości spotęgowane są przez chwiejną sytuację Inicjatywy Obrony Strategicznej i ustawiczne niepowodzenia obecnej administracji, próbującej bezskutecznie włączyć ten projekt do planu ogólnej modernizacji sił strategicznych.

Najbardziej jednak zatrważający jest wzrost zagrożenia z powodu możliwości nieprzestrzegania układu przez stronę sowiecką. Ma to związek z nierozstrzygniętym problemem weryfikacji i z przerażającą listą sowieckich naruszeń poprzednich umów, i musi zastanowić

każdego, kto nie jest przekonany, że sprawa kontroli realizacji porozumień nie jest li tylko straszakiem w rękach przeciwników rozbrojenia.

Na pytanie o wyżej wspomnianą weryfikację konserwatyści zwykli byli dawać następującą odpowiedź: wysoki standard sprawdzalności oraz inspekcje, inspekcje i jeszcze raz inspekcje. Niestety, jest to jednak odpowiedź błędna. Zrozumienie, dlaczego jest ona zła, stanowi najprawdopodobniej klucz do ponownego przemyslenia naszego stosunku do kontroli zbrojeń.

Należy wyróżnić trzy sprawy. Po pierwsze, wysoki standard weryfikowalności brzmi ładnie w teorii. Rzeczywistość uczy nas jednak, iż z wielu technicznych i operacyjnych powodów broń strategiczna staje się coraz trudniejsza do obserwacji i kontroli. Próba zamknięcia wszystkich możliwych ścieżek dla oszustw może w efekcie sprawić, iż USA będzie wstrzymywać się od wprowadzenia wartościowych rozwiązań do własnych sił zbrojnych, bez pewności podobnego postępowania strony sowieckiej. Za przykład służyć może zawarty w układzie INF zakaz używania dalekosiężnych rakiet "Cruise" wystrzeliwanych z wyrzutni naziemnych, uzbrojonych w głowice konwencjonalne /CLCM/. Włączony on został w obszar działania powyższego porozumienia, aby ułatwić weryfikowalność analogicznego porozumienia w sprawie tego samego typu rakiet z ładunkiem nuklearnym. Rezultatem tej części układu jest uniemożliwienie użycia przez USA rakiet "Cruise" z ładunkami konwencjonalnymi przeciw sowieckiej konwencjonalnej inwazji na Europę Zachodnią. sowieckie oszustwa mogą przybierać formy różnorodne jak np. maskowanie GLCMs pod postacią dozwolonych rakiet rozpoznawczych, bądź też testowanie ich na krótszym niż rzeczywisty zasięgu. Jeśli nie chcemy żyć z jawnie obniżonym standardem weryfikacji, powinniśmy powstrzymać się przed podpisywaniem kolejnych układów.

Po drugie, inspekcje na miejscu zostały znacznie przecenione. Należy zakładać, iż Sowieci nigdy nie dopuszczą amerykańskich inspektorów do jawnych dowodów łamania porozumień. Jedyne, co USA może zdziałać, to zmuszenie Sowieców do naruszania ustalonej procedury

przeprowadzania inspekcji. Wykroczenia tego typu nie są jednak w stanie niczego zmienić w trwałej i szczerej postawie polityków. Inspekcje na miejscu mogą stanowić dobrą okazję do zbierania użytecznych informacji natury wywiadowczej. Można jednak przypuszczać, że amerykańscy inspektorzy pracować będą niejako pod własną kontrolą, podczas gdy ich sowieccy kontrpartnerzy w zachodnich bazach będą mieli "dzień otwarty". Kontrwywiadowczych problemów związanych z wędrownymi korpusami sowieckich specjalistów po USA absolutnie nie można nie doceniać.

Po trzecie, dotychczasowe doświadczenie wskazuje, iż USA powinny mniej obawiać się o swoje zdolności weryfikacyjne, niż o ewentualne możliwości odpowiedzi na sowieckie pogwałcenia, gdy takie wyjdą na jaw. Prawne i faktyczne dwuznaczności dowodzą, że istnieją poważne przeszkody na drodze do efektywnej reakcji USA na nieprzestrzeganie układów rozbrojeniowych przez Sowietów. Obniżony standard weryfikowalności byłby możliwy do przyjęcia tylko wtedy, gdy obniżymy kryteria ewentualnych wykroczeń, na które byśmy zareagowali. Jak na razie administracja i Kongres nie potrafią podjąć żadnych działań nawet przeciw tak oczywistym i powszechnie znanym pogwałceniom układów, jakim jest np. radar w Krasnojarsku. Ta porażka zamienia całe rozbrojenie w farsę. Naszą główną potrzebą jest obecnie wspólna postawa reprezentantów wszystkich kierunków politycznych, dotycząca "gwarancji bezpieczeństwa" dla każdego nowego układu. Dobry początek mogłoby stanowić utworzenie z raket "Cruise" wystrzeliwanych z morskich wyrzutni /SLCMs/ systemu obronnego, który nie podlegałby formalnym ograniczeniom lecz mógłby rozrastać się w odpowiedzi na nieprzestrzeganie przez Sowietów układów INF i START.

Powyższe rozważania doprowadzają nas do ostatecznej sugestii, że należałoby przede wszystkim powrócić do bardziej tradycyjnego podejścia do spraw rozbrojenia. Akrobacja na granicy strategicznej równowagi - konserwatywny zarzut przeciw SALT II, wymaga naszego poparcia, zwłaszcza, że alternatywą jest START. Inspekcje na miejs-

cu nie zastąpią rozwoju naszych wywiadowczych zdolności weryfikacyjnych /coś, czym mało interesują się konserwatyści/. Potrzebujemy również więcej roztropności, realizmu i szczerości, niż amerykańskie elity polityczne były w stanie pokazać do tej pory. Należy ponowić próbę podporządkowania kontroli zbrojeń naszym obecnym potrzebom i strategii. Zwłaszcza potrzeba nam więcej niż zwykle rozwagi, gdy przychodzi nam potykać się w wojnie politycznej z gorbaczowską wirtuozerią "głasności", ponieważ grozi nam w przyszłości porażka w rzeczywistej wojnie, z innym, groźniejszym sowieckim kierownictwem. Lecz, ponad wszystko, potrzebna jest uczciwość, ponieważ, jeśli nie potrafimy powiedzieć prawdy o dylematach weryfikacji, politycznych i militarnych niebezpieczeństwach oraz ogólnie o odpowiedzialności związanej z kontrolą zbrojeń, to stajemy się jedynie współwinni jednostronnego rozbrojenia Zachodu.

CENTRUM DEZINFORMACJI OBRONY

Admirał La Rocque i jego ekipa lansują nowy styl chłostania amerykańskiej polityki bezpieczeństwa narodowego,

Nie każda grupa nacisku może poszczycić się tym, że nakłoniła wrogie supermocarstwo do przyjęcia określonej polityki w dziedzinie broni nuklearnej. Dlatego, kiedy dwa lata temu Sowiety ogłosiły tymczasowe zawieszenie prób z bronią jądrową, w bezpośredniej odpowiedzi na apel Centrum Informacji Obrony /CDI/, osobistości z CDI doszły do wniosku, że czasy anonimowości minęły, CDI okazało się nagle potężną siłą w amerykańskiej polityce obronnej.

Liczący w roku 1988 blisko 300 miliardów dolarów budżet obrony Stanów Zjednoczonych stanowi około jednej czwartej całego funduszu federalnego. Faktem jest, że suma wydatków na cele obrony zmalała w stosunku do roku 1955, kiedy stanowiła ponad 50% nakładów federalnych, a także w stosunku do roku 1960, kiedy wynosiła 45% tych nakładów. Faktem jest również, że opowieści o złoconych ekspresach do kawy i wysadzanych diamentami obcęgach można spokojnie między bajki włożyć. Mimo to nie ulega wątpliwości, że cechą każdej wielkiej biurokracji jest wielkie marnotrawstwo, a czujni politycy i grupy obserwacyjne mogą mu w znacznym stopniu przeciwdziałać.

CDI, organizacja niedochodowa, jest uważana za jedną z głównych instytucji dążących do minimalizacji marnotrawstwa w wydatkach zbrojeniowych. Na czele CDI, zatrudniającego na pełnych etatach dwadzieścia pięć osób, stoi kontradmirał w stanie spoczynku, Gene R. La Rocque, dyrektor organizacji od daty jej założenia w roku 1972. La Rocque, zwany niekiedy "Ralphem Naderem" wojskowości, z pozorów zadaje kłam temu przydomkowi: ma wielkie, smutne oczy i serdeczny, bezpośredni sposób bycia. A jednak silnie dzierży ster i ci, którzy go uważają za marionetkę a

nie rzeczywistego przywódcę powinni zobaczyć, jak załoga La Rocque'a pręży się na baczność, kiedy szef dzwoni ze swojego gabinetu.

Począwszy od roku 1984 La Rocque i CDI przez blisko rok starali się nakłonić z jednej strony Sowieców, z drugiej zaś USA i amerykańskich sojuszników do zaprzestania prób z bronią jądrową, w związku z czterdziestą rocznicą zbombardowania Hiroszimy przypadającą 6 sierpnia 1985. Administracja Reagana w odpowiedzi na apel CDI stwierdziła, że przy tego typu moratorium całkowita kontrola jest praktycznie niemożliwa, a co więcej, "próby z bronią nuklearną spełniają istotną rolę w podtrzymywaniu obrazu wiarygodności Stanów Zjednoczonych jako gwaranta pokoju, zwłaszcza w obliczu intensywnego gromadzenia broni jądrowej po stronie sowieckiej". CDI jednak obstawało przy swoim, wobec czego 29 lipca Związek Sowiecki ogłosił półroczne zawieszenie działań w tej dziedzinie, przeprowadziwszy uprzednio intensywną serię testów jądrowych w trybie przyspieszonym. Tym posunięciem Sowiety znacznie urosły w oczach opinii światowej, a CDI mogło chodzić w glorii inicjatora "najdonioślejszego kroku w dziedzinie kontroli zbrojeń obecnej dekady". Administracja Reagana automatycznie straciła kolejny punkt w propagandowej wojnie o kontrolę zbrojeń.

Niedawno znów zrobiło się głośno o CDI, w związku z przeprowadzoną w kwietniu ubiegłego roku konferencją generałów amerykańskich i sowieckich, której gospodarzem był nie kto inny jak właśnie CDI. FBI wymienia tę konferencję w swoim raporcie o działaniach sowieckich za rok 1986-87. Raport stwierdza, że grupa byłych oficerów NATO zwana "Generałowi w Sprawie Pokoju i Rozbrojenia" /GPD/ "stała się obiektem intensywnych zabiegów ze strony sowieckich służb wywiadowczych /i/ wyrażała poglądy zbieżne z sowieckim projektem kontroli zbrojeń, a przeciwne opiniom NATO". Dalej, w tym samym raporcie, czytamy:

"Jakkolwiek CDI nie ma oficjalnych powiązań z GPD, angażuje się w podobne działania, a także popiera oświad-

czenia i działania GPD i byłych oficerów sowieckich. Sowietci z dużym powodzeniem posługują się w swoich kampaniach oświadczeniami GPD i CDI",

Kolejnym sukcesem była realizacja jednej z głównych inicjatyw CDI zgłoszonych na przestrzeni ostatnich lat - uporczywej kampanii o zaprzestanie rozprzestrzeniania Pershinga II i wystrzeliwanych z ziemi pocisków typu "Cruise" stacjonowanych w Europie. Prezydent Reagan i sekretarz Gorbaczow podpisali w grudniu traktat INF.

Działalność Centrum nie ogranicza się bynajmniej do wyższych sfer polityki międzynarodowej. W programie CDI mieści się na przykład organizowanie biblioteki, z której korzystać mogą wszyscy badacze problemów obronności, a której księgozbiór zawiera co najmniej jedną pozycję przyjętą oficjalnie jako podręcznik szkół wyższych: "Bieżące problemy polityki obronnej USA". Centrum oferuje również szybką obsługę informacyjną, programy radiowe, filmy, a także cotygodniowy cykl audycji telewizyjnych pt. "Monitor amerykańskiej obrony", emitowany przez stacje niezależne, gdyż - zdaniem dyrektora działu dokumentacji - "prezentujemy nasz własny punkt widzenia, który nawet PBS mogłaby uznać za nie dość stronniczy". Program jest emitowany przez około 300 stacji w całym kraju, a potencjalna liczebność widowni sięga czterech milionów. Najważniejszą publikacją CDI jest "Defense Monitor" /Monitor obronny/, biuletyn wydawany dziesięć razy do roku, którego każdy kolejny numer poświęcony jest jednemu tematowi z zakresu obrony. Redakcja rozsyła miesięcznie około 100 tysięcy egzemplarzy "monitora", z których większość, zdaniem Centrum, trafia do subskrybentów.

CDI powstało w wyniku inicjatywy Fundacji Pokojowej - lewicującej, wolnej od podatków waszyngtońskiej organizacji - a finansowane było początkowo przez spadkobiercę firmy General Motors, Stewarta R. Motta. Oprócz CDI Fundacja Pokojowa powołała do życia szereg innych grup, z którymi CDI mniej lub bardziej ściśle współpracuje. Należą do nich: Centrum Badań Bezpieczeństwa Narodowego, którego personel utrzymuje zażyłe stosunki z silnie lewicującym Instytutem Badań Politycznych /IPS/;

Centrum Polityki Międzynarodowej, którego liczni działacze mają również bliskie powiązania z IPS; W Interesie Ogółu /In the Public Interest/ - organizacja, która ma na celu "przeciwdziałanie zalewowi prawicowej propagandy". W roku 1976 Nicholas Nyary, prezes Fundacji Pokojowej z roku 1975, sprawował funkcję sekretarza generalnego Światowej Rady Pokoju. W lipcowym raporcie CIA z roku 1978, Światowa Rada Pokoju /WPC/ nazwana została "najważniejszą sowiecką organizacją frontową", z wyjaśnieniem, że WPC "popiera rozbrojenie na warunkach sowieckich /bez nadzoru międzynarodowego/, a także prowadzi rozliczne kampanie wspomagające politykę sowiecką na Środkowym Wschodzie, na Cyprze, w Chile, w Afryce Południowej i w innych konfliktach regionalnych".

Mimo iż dyrektor działu dokumentacji David Johnson bagatelizuje powiązania między CDI a Fundacją Pokojową /"Nigdy nie mieli większego wpływu na CDI"/, to wiadomo, iż niektórzy członkowie komisji doradczej CDI wykonują kontrowersyjne posunięcia. Harold Willens, członek zarządu udziałowców Fundacji Pokojowej, był czołowym przywódcą przeciwnej wojnie w Wietnamie organizacji Business Executives Move for Vietnam Peace /Ruch Biznesmenów na rzecz Pokoju w Wietnamie/. Dziełem tej grupy była audycja radiowa, odtworzona następnie przez Radio Hanoi, w której "były pilot Marines" potępiał amerykańskie bombardowania i oskarżał siły militarne USA o zbrodnie wojenne przeciwko ludowi wietnamskiemu. Inny członek zarządu CDI, dr Earl C. Ravenal, pracował "naukowo" w IPS i uczestniczył w projekcie sponsorowanym przez IPS do spółki z Transnational Institute, znanym z powiązań z Czwartą Międzynarodówką - działającym na całym świecie trockistowskim aparatem, udzielającym udokumentowanego poparcia ruchowi terrorystycznemu. Wśród innych godnych wzmianki doradców CDI figurują: Paul Newman, autor filmu dla CDI, i jego żona, Joanne Woodwardo. Wreszcie fakt najbardziej zdumiewający: dyrektorką "Kobiecej Agendy" CDI jest Barbara Levin, żona senatora Carla Levina /Demokraty z Michigan/, członka Armed Services Committee /Komitetu Służb Zbrojnych/ i czołowego krytyka amerykańskiej polityki nuklearnej.

W roku 1983 CDI oddzieliło się od Fundacji Pokojowej, ale nadal czernie fundusze z pokrewnych Fundacji źródeł.* Lektura "Indeksu dobrowolnych wpłat", wydanie 16, wskazuje na typowy zestaw lewicowych sponsorów. Dla przykładu: w roku 1985 CDI otrzymało sumę 500 tysięcy dolarów od /Joan B./ Kroc Foundation, która w tym samym roku ofiarowała 100 tysięcy dolarów lewicowej Beyond War Foundation i Związkowi Zatraskanych Naukowców /Union of Concerned Scientists/ - grupie optującej za zamrożeniem zbrojeń nuklearnych. /Ta sama Joan Kroc podarowała ostatnio milion dolarów Partii Demokratycznej/. Town Creek Foundation, Inc. w roku 1985 wpłaciła na konto CDI 10 tysięcy dolarów, ofiarowując jednocześnie po 5 do 10 tysięcy dolarów takim lewicującym ugrupowaniom jak: Nauczyciele Na Rzecz Odpowiedzialności Społecznej /Educators for Social Responsibility/, Lekarze Na Rzecz Odpowiedzialności Społecznej /Physicians for Social Responsibility/, Fundacja Stypendialna SANE /przeciwko broni jądrowej/ oraz wspomniany już Związek Zatraskanych Naukowców. Fundacja Mertza-Gilmore'a w roku 1985 ofiarowała CDI 10 tysięcy dolarów "na prace nad programami powstrzymania zbrojeń jądrowych". W tym samym roku ta sama fundacja rozdzieliła sumy od 5 do 10 tysięcy dolarów między takie lewicowe grupy jak: Centrum Badań nad

x. Centrum głośno szczydzi się tym, że listy indywidualnych sponsorów są otwarte dla wszystkich zainteresowanych, jednak ja prezentuję w tej kwestii pogląd sceptyczny. Pokazano mi listę osób wspierających CDI bez wpłaconych przez nie kwot, z obietnicą, że "najprawdopodobniej już jutro" otrzymam pełny wykaz wpłat. Po dziesięciu dniach poinformowano mnie, że sporządzenie kompletnego dokumentu musi potrwać trzy miesiące. Wówczas poprosiłem, żeby udostępniono mi znów pierwszą listę, tę, którą już widziałem, ale i tego mi odmówiono. Po rozmowie ze mną ktoś z personelu CDI zadzwonił do "The American Spectator" żądając listy osób wspomagających finansowo to pismo!

Problemami Wojny i Pokoju /Centre for War-Peace Studies/, Nowojorska Kampania na rzecz Zamrożenia Broni Nuklearnej /Downstate New York Nuclear Weapons Freeze Campaign/, Nauczyciele Na Rzecz Odpowiedzialności Społecznej, LAMBDA - Fundacja Obrony Prawnej i Kształcenia /walcząca o prawa homoseksualistów/, Zrzeszenie Prawników na Rzecz Kontroli Zbrojeń Nuklearnych /Lawyers Alliance for Nuclear Arms Control/, Komisja Prawnicza d/s Międzynarodowych Praw Człowieka /Lawyers' Committee for International Human Rights/, Fundacja Nauczania o Broni Jądrowej /Nuclear Weapons Education Fund/ - dążąca do zamrożenia zbrojeń nuklearnych, Lekarze Na Rzecz Odpowiedzialności Społecznej, oraz SANE - Komisja d/s Zdrowej Polityki Nuklearnej /Sane Committee for a Sane Nuclear Policy/. Budżet CDI za rok 1985 wynosił około 1,5 milionów dolarów.

Człowiek, który stoi na czele tej organizacji - Gene Robert La Rocque - rozpoczął karierę wojskową na Uniwersytecie Stanowym Illinois jako uczestnik tamtejszego szkolenia wojskowego ROTC, piechur i kawalerzysta zarazem. Nie przepadał za końmi - po dziś dzień miewa kłopoty z prawą ręką, na którą kiedyś koń mu nadepnął - toteż na pół roku przed absolutorium wstąpił do marynarki. Był porucznikiem na pokładzie U.S.S. "Mac-Donough", kiedy Japończycy zaatakowali jego okręt i resztę Siódmej Floty w Pearl Harbour 7 grudnia 1941. La Rocque uczestniczył podczas wojny w trzynastu wielkich bitwach morskich, służąc kolejno na kilku okrętach. W czasie jednego z ataków na Wyspach Marshalla La Rocque /jak sam opowiada/ dowodził szturmem Marines na plażę i podobno właśnie po tym incydencie znienawidził broń, zwłaszcza ręczną. Mimo to spędził w wojsku następne trzydzieści jeden lat, aby w roku 1972 odejść w stan spoczynku. Wkrótce potem został współzałożycielem CDI, które szczyti się posiadaniem wśród personelu siedmiu wysokiej rangi oficerów w stanie spoczynku i około 500 wojskowych zwolenników - tak przynajmniej podaje La Rocque. Oficerowie z personelu CDI i ciała doradczego, wszyscy emerytowani, wywodzą się ze służb marynarki

/Navy i Marines/, co La Rocque tłumaczy faktem, że marynarka "powołuje oficerów na ogół z elitarnych szkół Wschodniego Wybrzeża, podczas gdy armia lądowa bierze oficerów ze zwykłego naboru, czego u nas się nie stosuje". La Rocque twierdzi ponadto, że oficerów marynarki cechują szczególnie szerokie horyzonty intelektualne i przypisuje ten fakt podróżom dalekomorskim, które jak wiadomo kształcą. Rozmawiałem jednak z innymi emerytowanymi oficerami, którzy są zdania, że przewagę oficerów marynarki w CDI należy raczej tłumaczyć prywatnymi znajomościami La Rocque'a z czasów służby wojskowej.

Środki masowego przekazu często zwracają się do CDI jako do ostatecznego źródła informacji na temat sytuacji w Zatoce Perskiej, stanu uzbrojenia Marynarki USA, amerykańsko-sowieckich negocjacji w sprawie redukcji zbrojeń itp. Przegląd wycinków prasowych z połowy roku 1987 wskazuje, że czterdzieści gazet i periodyków zamieszcza artykuły bądź to autorstwa osób z personelu CDI, bądź też napisane w oparciu o dostarczone przez CDI informacje. Artykuły te z reguły nie wspominają o skrzywieniu ideologicznym CDI, określając Centrum terminami: "grupa waszyngtońska", "wojskowa grupa dokumentacyjna", "prywatne, niedochodowe ugrupowanie zajmujące się analizą wydatków militarnych kraju, jego polityki i systemu zbrojeń", "prywatna wojskowa organizacja dokumentacyjna", "grupa obserwacyjna", czy też "waszyngtońska grupa zajmująca się gromadzeniem danych o charakterze militarnym" /tym ostatnim sloganem posługuje się zazwyczaj "New York Times"/. Jedyne pismo "Chicago Sun-Times" w jednym czy dwóch artykułach zbliżyło się do użycia etykiety o charakterze ideologicznym, nazywając CDI organizacją "o orientacji liberalnej". Dla kontrastu, taki sam przegląd artykułów bazujących na materiałach dostarczonych przez Heritage Foundation pozwala stwierdzić, że w ponad połowie przypadków źródło informacji określa się jako "konserwatywne" lub "prawicowe".

Mimo iż w druku rzadko wspomina się o orientacji politycznej CDI, dziennikarze, z którymi rozmawiałem, odnoszą się z rezerwą i do samego Centrum, i do jego

dokumentacji. Reporter "New York Times'a" John Cushman Jr. mówi, że korzysta z CDI "głównie jako ze źródła faktów na temat operacji w Zatoce /Perskiej/ - liczba okrętów, tonaż ropy naftowej, ataki, itd. Jeżeli tak traktować CDI, nie trzeba się przejmować polityką. Ich długie raporty nie za bardzo mi się przydają" - to aluzja do "Defense Monitor". Tara Sonenshine, producentka i reporterka ABC News zajmująca się sprawami Pentagonu uważa, że CDI "potrafi świetnie informować o szczegółach, takich jak liczba okrętów itp.". Co do innego rodzaju materiałów, traktuje je "nie jak ewangelię, lecz jako rodzaj przewodnika". "Czy oni /CDI/ mają program? Sądzę, że tak. Mają określone poglądy i wcale się z nimi nie kryją. Sprawdzanie wszelkich materiałów jest zadaniem dziennikarza".

Bill Gertz, który zajmuje się sprawami Pentagonu na łamach pisma "Washington Times", jest mniej uprzejmy: "Nie przypominam sobie, żeby mi kiedyś pomogli. Po dane statystyczne zwracam się do Pentagonu, do Biblioteki Kongresu, albo innego uznanego źródła, ale na pewno nie do CDI. Za często lansują poglądy Sowieców".

Dziennikarze okazywali zdumienie, kiedy zwracałem ich uwagę na fakt, że rzadko wspomina się o ideologicznym kolorycie CDI. "Coś podobnego!" - mówi James Coates, były reporter d/s Pentagonu pisma "Chicago Tribune". - "To bardzo istotne spostrzeżenie. Może dzieje się tak dlatego, że /CDI/ istniało właściwie zawsze, podczas gdy o Heritage Foundation było całkiem cicho do chwili gdy Reagan objął ster rządów".

O wpływie CDI na środki masowej informacji Coates wypowiada się następująco: "Ogólnie rzecz biorąc mają niesamowity wpływ na środki przekazu: co najmniej taki sam jak na mnie".

Wpływ CDI dają się odczuć również w Kongresie. Co prawda Kongres stara się polegać na własnych służbach dokumentacyjnych, ale poglądy CDI wyłożone w "Defense Monitor" regularnie i bezpłatnie docierają do biur Kongresu. Bruce MacDonald, pomocnik d/s ustawodawczych senatora Dale'a Bumpersa /Demokraty z Arkansas/ z Komisji Przydziału Kredytów twierdzi, że "Defense Monitor" jest

pismem pożytecznym, a informację CDI określa jako "w miarę rzetelną", chociaż nastawienie polityczne CDI budzi jego poważne zastrzeżenia: "Starają się zachować ton obiektywny, ale większość ludzi i tak wyczuwa ich liberalną proveniencję".

Inny pomocnik d/s ustawodawczych, pracownik liberalnego senatora z Partii Demokratycznej, działającego w podkomitecie Służb Zbrojnych Komisji Przydziału Kredytów, uważa, że CDI ma bardzo znaczne wpływy w Kongresie i że nie są to wpływy pożądane. "Moim zdaniem", twierdzi, zastrzegając sobie anonimowość, "to oni między innymi pchnęli nasz kraj w stronę mentalności antymilitarnej".

Nic w tym dziwnego, że konserwatyści z establishmentu wojskowego przeciwstawiają się inicjatywom CDI, a nawet wypowiadają się w tonie wyjątkowo surowym. Niektórzy z nich niemalże oskarżają Centrum o zdradę stanu. W roku 1983, 424 admirałów w stanie spoczynku wykupiło całą stronę w "Washington Times", aby zamieścić tam tekst następującej treści: "UWAŻAMY, ŻE NADSZEDŁ CZAS ABY POWIADOMIĆ NARÓD AMERYKAŃSKI O STANOWISKU ZAJMOWANYM PRZEZ WIEKŠOŚĆ ADMIRAŁÓW AMERYKAŃSKIEJ MARYNARKI W STANIE SPOCZYNKU" - tak brzmiał nagłówek; a dalej: - "WYSTĄPIENIE EMERYTOWANEGO KONTRADMIRAŁA LAROCQUE 'A /SIC!/ W TELEWIZJI SOWIECKIEJ I POTĘPIENIE W TYM WYSTĄPIENIU POLITYKI STANÓW ZJEDNOCZONYCH JEST SPRZECZNE Z NASZYMI ZASADAMI I, JAK SĄDZIMY, SZKODLIWE DLA NAJLEPIEJ POJĘTYCH INTERESÓW NASZEGO KRAJU", W miesiąc później w tym samym piśmie ukazał się podobny anons, podpisany tym razem przez 575 emerytowanych admirałów.

Podpisy pod oba oświadczenia zebrał admirał w stanie spoczynku Thomas H. Moorer, który za prezydentury Nixona sprawował urząd przewodniczącego Połączonych Szefów Sztabów. Oświadczenia nawiązywały do wystąpienia La Rocque'a w wieczornym programie telewizji sowieckiej, w którym jako stronę przeciwną pokazano zastępcę Sekretarza Stanu Kennetha W. Dama. La Rocque oskarżył wówczas prezydenta Reagana o to, że "nie traktuje poważnie kwestii kontroli zbrojeń". Jedynym z ośmiu byłych Szefów

Operacji Morskich, który nie podpisał wspomnianych oświadczeń prasowych, był admirał Elmo Zumwalt, a i on tłumaczy brak swojego podpisu faktem, że podróżował i nie miał okazji do wcześniejszego zaznajomienia się z tekstem. Zastępca Podsekretarza Marynarki Seth Cropsey sprzeciwia się jednak podawaniu w wątpliwość patriotyzmu admirała. "Zdrajca", powiada Cropsey, "to zbyt mocne określenie. Nazwałbym go raczej wariatem".

Podczas gdy konserwatyści z kręgów wojskowych nie mają pełnej jasności co do charakteru CDI, ostra krytyka Centrum pobrzmiwa nawet od strony pełniących analogiczną do CDI funkcję obserwatorów Pentagonu. William Lind jest, do spółki z senatorem Garym Hartem, autorem publikacji "America Can Reform" /Ameryka jest zdolna do reform/, wyszczególniającej najniebezpieczniejsze - w opinii autorów - błędy w dysponowaniu funduszem obrony. "Oni sprzeciwiają się właściwie wszystkiemu", mówi Lind o CDI. "Nie ufam zbytnio ani tym, którzy popierają wszystkie posunięcia Pentagonu, ani tym, którzy wszystko krytykują, nie proponując rozwiązań alternatywnych". Lind, który współpracuje obecnie z działaczem konserwatywnym Paulem Weyrichem, podkreśla różnice między celem, który przyświecał jemu samemu i Hartowi, gdy pisali "America Can Reform", a motywacją działań CDI. "Nam przyświecała idea skuteczności bojowej sił zbrojnych - chodziło nam o taką organizację wojskową, która okazałaby się zwycięska", mówi Lind. "Grupa, do której należę, zawsze dba o to, żeby przedstawiać alternatywy - w przeciwieństwie do grupy La Rocque'a. Nie przypominam sobie, żeby oni /CDI/ w swoich publikacjach poparli kiedykolwiek dowolny projekt obrony".

W rzeczy samej zestawienie głównych projektów obrony z opiniami CDI na ich temat w pełni potwierdza przypuszczenia Linda. Oto oceny CDI publikowane na łamach "Defence Monitor" w roku 1987:

. Ograniczyć liczbę pocisków MX /do 50 zamówionych/. Istniejące obecnie pociski naziemne w liczbie 1000, z 2177 głowicami nuklearnymi, stanowią siłę więcej niż wystarczającą dla skutecznego odparcia ataku.

. Zlikwidować pocisk Trident II... System ten jest elementem groźnej amerykańskiej strategii nuklearnej i zwiększyłyby prawdopodobieństwo ataku którejkolwiek ze stron w okresie napięcia militarnego.

. Zlikwidować Midgetman Mobile Missile... Stany Zjednoczone nie potrzebują następnych 500 pocisków nuklearnych, zwłaszcza kosztem 45 miliardów dolarów.

. Zrezygnować z SDI /Inicjatywa Obrony Strategicznej/... /która/ w n a j l e p s z y m r a z i e może zapewnić niedoskonałą obronę przeciwko jednej zaledwie formie ataku nuklearnego. Instalacja tej częściowej, dziurawej tarczy obronnej, pochłonie setki miliardów dolarów, w tym fundusze niezbędne na usprawnione programy obronne... SDI zapoczątkuje przyspieszoną ofensywę zbrojeń i unicestwi wysiłki zmierzające w kierunku kontroli broni strategicznych.

. Zlikwidować bombowce typu Stealth Bomber... Pentagon nie jest w stanie przekonywająco umotywić zapotrzebowania na 132 nowe bombowce tego typu.

. Zaprzestać rozmieszczania zaawansowanych pocisków typu "Cruise"... Siły Powietrzne już zaplanowały rozmieszczenie 2179 tego typu pocisków, wystrzeliwanych z ziemi i z powietrza, co pokrywa, a nawet przewyższa, potrzeby kontrataku nuklearnego.

I tak dalej, i tak dalej. Dyrektor Dokumentacji Johnson pracujący w CDI od czasu powstania tej organizacji w zasadzie potwierdza stanowisko Linda. Podkreśla przy tym, że CDI "popierało projekty usprawnienia B-52 i tym podobnych, a także nigdy nie krytykowało MIRV /pocisku wielogłowicowego/. Przyznaję, że jak większość liberałów, mamy, powiedzmy, pewną słabość do pocisków stacjonowanych w łodziach podwodnych". Jednocześnie zaś stwierdza, że tak jak CDI zwalcza obecnie Trident II, tak samo kiedyś zwalczało system Trident I. "Wydawał nam się marnotrawny i przedwczesny", mówi Johnson.

Edward Luttwak, znany obserwator Pentagonu, jest autorem głośnej i skandalizującej książki pt. "The Pentagon and the Art of War" /Pentagon a sztuka wojen-

na/ i zajmuje się analizą strategii w Centrum Badań Strategii i Spraw Międzynarodowych. Luttwak w żadnym razie nie należy do grupy Lind-Hart /"Niektóre jego pomysły podobają mi się", mówi Lind, "Inne nie"/, ale zgadza się z nimi w pełni co do CDI. "Ludzie, którzy tam /w CDI/ działają, są godni szacunku", twierdzi Luttwak, "a ich dane są na ogół wiarygodne. Ludzie ci nie powinni jednak pod żadnym pozorem nazywać siebie "centrum informacji obrony" i głosić zasady obiektywizmu. Zajmują się jedynie negowaniem wszelkich projektów i wysuwają argumenty wyłącznie na niekorzyść działań. Przedstawiają zaledwie pół prawdy".

Johnson z CDI jest wyraźnie zatroskany jednostronnością, o jaką posądza się jego organizację, a nawet nieco tym faktem zawstydzony. "Wiemy, że wielu oskarża nas o jednostronność i powtarzanie w kółko tego samego orędzia. My po prostu nie mamy środków na proponowanie alternatyw", tłumaczy się. "Pozory braku obiektywizmu wskazują tylko na warunki, w jakich musi działać każda mała organizacja. Kto krytykuje, ten naraża się na opinię uprzykrzonego gza". Johnson wyjaśnia ponadto, że CDI koncentruje swoją krytykę raczej na USA niż na Związku Sowieckim, ponieważ "jesteśmy organizacją amerykańską... Może byłoby dla nas wygodniej, gdybyśmy występowali mniej krytycznie pod adresem Stanów Zjednoczonych". Przy innej, późniejszej okazji Johnson z dumą pokazał mi egzemplarz "Defense Monitor" z roku 1979, w którym Sowiecom dostało się za poważne zwiększenie eksportu broni. Ale nawet tutaj "Monitor" zbilansował zarzuty do zera:

"Celem pomniejszania roli Stanów Zjednoczonych jako handlarza bronią i podważenia zasadności polityki ograniczania sprzedaży broni lansowanej przez prezydenta Cartera, szereg opublikowanych ostatnio raportów sugeruje, że to Związek Radziecki jest motorem wyścigu zbrojeń w Trzecim Świecie. Rzeczywistość okazuje się, jak zwykle, bardziej skomplikowana... Z danych opublikowanych przez Agencję d/s Kontroli Zbrojeń i Rozbrojenia... Sowieci przewyższają Stany Zjednoczone w światowych dostawach broni jedynie w pięciu z czternastu możliwych kategorii".

Podkreślenie poczynił sam "Monitor", a było to jedyne wyróżnione stwierdzenie na całej stronie. Oto jak kończy się cytowane sprawozdanie:

"Prezydent Carter i jego doradcy powinni jednak wyciągnąć stąd naukę, że nie wolno uzależniać amerykańskiej polityki sprzedaży broni od posunięć sowieckich... Po dwudziestu z górą latami, sowiecka broń i pomoc militarna nie zaowocowała istotnym zwiększeniem wpływów Sowietów i ich potęgi... Ani obecny wzrost eksportu, ani fakt pozyskiwania sobie /przez ZSSR/ nowych przyjaciół w Afryce nie stanowią usprawiedliwienia dla amerykańskiej ekspansji eksportu broni celem zapobieżenia rzekomym wpływom sowieckim. Wizje globalnej konfrontacji absolutnie nie przystają do rzeczywistości frustracji i porażki, nekajającej program sowiecki".

CDI z lubością maluje obraz "nieszkodliwych Sowietów" i ich "rzekomych" wpływów. "Defense Monitor" odbija jak bumerang każdy kolejny przejaw sowieckiej agresji. Formułowane przez CDI oceny sowieckich posunięć czyta się jak parable, jak pouczające przypowieści adresowane do USA. "Uważam, że historia nauczyła Sowietów pokory", twierdzi Johnson. "Nie potrafią podporządkować sobie nawet małego kraiku poza własnymi granicami", mówi La Rocque, mając na myśli Afganistan. Ciekawe, że CDI sprzeciwia się amerykańskiej pomocy udzielanej mudżahedinom /i wszelkim innym bojówkom antykomunistycznym/ - pomocy, bez której Sowietci z dużym prawdopodobieństwem dokonaliby skutecznych podbojów.

"Tym, co Sowietci uzyskali za swoje wysiłki /w kierunku ekspansji/", mówi La Rocque, "jest zlepek odrębnych grup etnicznych... system właściwie nie do opanowania". W 1986 r. "Defense Monitor" w artykule "Sowieckie ambicje geopolityczne: Mit czy zagrożenie?" popiera tezę, że Sowietci nie są już zdolni do dalszego rozszerzania swoich wpływów. Raport przedstawia w kategoriach procentowych część świata pozostającą niegdyś "pod wpływem Sowietów", w zestawieniu z tą częścią świata, która obecnie pozostaje pod ich wpływem:

"...blisko 15% z końca lat 50-tych zmalało do 9% w połowie lat 60-tych, aby w połowie lat 70-tych wzros-

nać znów do ponad 12%. Przez ostatnie siedem lat utrzymuje się wysokość 11%. W świetle tych danych, wpływy sowieckie na świecie osiągnęły swój szczyt w latach 50-tych i od wielu lat nie odnotowano ani jednego ruchu geopolitycznego ze strony Sowietów". /Podkreślenie oryginału/.

Na liście krajów, które ulegają wpływowi sowieckim zauważa się natychmiast brak, na przykład, Korei Północnej. W ostatnich latach rząd Kim Ir Sena zacieśnił więzy dyplomatyczne z Sowietami, zgodził się na przeloty nad swoim terytorium sowieckich samolotów zdążających do Wietnamu, przyjął dziesiątki sowieckich myśliwców typu MiG i helikopterów HiND, jak również rozesłał swoje oddziały i doradców do krajów w Afryce i Azji, gdzie siły oporu zwalczają agentury sowieckie. Nikaragua także nie figuruje na liście "Defense Monitor".

"Nie godzimy się z opinią, że /ekspansjonizm/ stanowi główny motor działania Sowietów", mówi Johnson. "Nie przeczę, że /w ZSSR/ można dostrzec przejawy realizacji zasad marksistowsko-leninowskich, ale dotyczą one głównie spraw wewnętrznych. /Sowieci/ próbują ustabilizować własne sprawy wewnętrzne, aby przedłużyć okres rozwoju gospodarki i poprawić warunki życia w kraju". Dlaczego przywódcy państwowi, którym przyświecają tak szlachetne cele, mieliby wydawać ponad 15% dochodu narodowego na wydatki o charakterze militarnym dla utrzymania sił okupacyjnych i doradców wojskowych na wszystkich kontynentach z wyjątkiem Ameryki Północnej - pozostaje nierozwiązaną zagadką. CDI wyjaśnia wątpliwości punkt po punkcie:

. Przeważająca część Europy Wschodniej: "/Sytuacja tamtejsza jest/ wynikiem wojny", oświadcza Johnson. "ZSSR chwycił kurczowo i to się jeszcze nie skończyło". Johnson sugeruje jednocześnie, że okupacja Europy Wschodniej wynikać może po części z czynnika marksistowsko-leninowskiego w sowieckim systemie zarządzania. Zdaniem La Rocque'a okupacja ta zdradza sowiecką chęć utworzenia strefy buforowej. Na wypadek posądzenia o sympatie z taką polityką, La Rocque dodaje: "Potrafię zrozumieć chęć stworzenia korytarza /obronnego/, ale czas najwyższy, żeby się stamtąd wycofali".

. Afganistan: "To kolejne wyraźne odbicie pozostałości marksizmu-leninizmu", mówi Johnson. "Sądzę, że traktowali to jako pomoc udzielaną marksistowskiemu rządowi".

. Polska: "Polakom - twierdzi La Rocque - mniej niż komukolwiek innemu spieszy się do wycofania z ich kraju Sowieci, gdyż bardziej boją się Niemców niż Rosjan". Na poparcie swojej tezy, La Rocque przytacza wymianę zdań ze spotkania towarzyskiego: "Kiedy wreszcie Sowieci zburzą ten cholerny mur /Berliński!", miał się wyrazić La Rocque. Na co podsłuchujący rozmowę ambasador PRL powiedział mu podobno, że jego naród pragnie, aby mur pozostał.

Wyrozumiałość CDI wobec Sowieci nie kończy się na poglądach dotyczących ekspansji komunistycznej, lecz sięga również w dziedzinę strategicznej broni nuklearnej: CDI z jednej strony usprawiedliwia gwałcenie traktatów przez Sowiety, z drugiej zaś przekonuje, że Stany Zjednoczone nie potrzebują takiego typu i takich ilości broni, jakie większość planistów wojskowych uważa za niezbędne. CDI w pełni popiera wszystkie w zasadzie traktaty o broni jądrowej wychodząc z założenia wyrażonego w "Defense Monitor" z roku 1987, że "Związek Sowiecki dotrzymał wszystkich głównych umów SALT I i II".

W innym numerze "Defense Monitor" z roku 1987 CDI przyznaje, że radar w Krasnojarsku, nowy SS-25 ICBM, a także stosowanie przez Sowiety szyfru celem ukrycia prób z pociskami "należałoby poddać poważnej kontroli i dyskusji z Sowieciami". Oto jak CDI rozprawia się z krasnojarskim pogwałceniem traktatów:

"Administracja uważa, że jest to radar wczesnego ostrzegania, gdyż bardzo przypomina on inne radzieckie radary tego typu. W takim przypadku mielibyśmy do czynienia z pogwałceniem traktatu ABM... Sygnały emitowane przez radar w czasie pracy rozwiążą tę niepewność. ... Tymczasem Sowieci mieli oświadczyć, że gotowi są powstrzymać konstrukcję tego radaru, jeżeli USA uczyni to samo w stosunku do dwóch radarów wczesnego os-

trzegania o systemie fazowym, instalowanych obecnie na Grenlandii i w Wielkiej Brytanii. Nie wiadomo, jak zareagowały na tę ofertę Stany Zjednoczone, jednak nie ulega wątpliwości, że administracja USA... nie zamierza zachęcać Sowietów do dalszego rozwijania propozycji".

Trzeba w tym miejscu zauważyć, że radary amerykańskie nie spotkały się z zarzutem gwałcenia jakichkolwiek traktatów. Wobec tego sowiecka "oferta" jest próbą uzyskania czegoś za nic. Zwróćmy uwagę na to, jak sprytnie CDI odwraca kota ogonem sugerując, że to w istocie postępowanie USA jest źródłem problemu. Podobnie w kwestii pogwałcenia umów w związku z SS-25:

"Sowieci podczas negocjacji SALT twardo bronili się przed przyjęciem ograniczeń, które uniemożliwiłyby im rozprzestrzenianie SS-25. /Były/ Asystent Sekretarza Obrony Richard Perle ubolewał nad tego rodzaju praktyką negocjacyjną twierdząc, że zmierza ona do tworzenia luk w traktacie. Można równie dobrze powiedzieć, że to właśnie Sowieci odmawiając przyjęcia warunków, których, jak z góry wiedzieli, nie mogliby dotrzymać, okazują prawdziwy szacunek dla litery porozumień".

Innymi słowy, Sowieci okazują szacunek dla traktatu przez pogwałcenie go. Jakby tego było mało, "Monitor" w dziale poświęconym SS-25 konkluduje: "Trudno sobie wyobrazić, jak niewielkie wzmocnienie sprawności bojowej, o które walczą Sowieci /zamiana SS-11 na SS-25/ mogłoby obalić SALT". Innymi słowy, nawet jeżeli nazwiemy ten fakt pogwałceniem, nie jest to nic wielkiego. "Monitor" nie podejmuje dyskusji na temat, czy sowiecka próba pogwałcenia jednego rozdziału traktatu nie oznacza przypadkiem skłonności do gwałcenia wszelkich umów.

Wreszcie sprawa szyfru telemetrycznego /praktyki odmowy udostępniania stacjom obserwacyjnym strony przeciwnej informacji elektronicznej transmitowanej przez pociski podczas lotów próbnych/. "Monitor" oświadcza: "Powstaje pytanie: czy tego typu praktyka stanowi jawne pogwałcenie traktatu, czy też tylko stosowanie przez Sowietów dwuznacznego języka". Ciekawe, do której opinii przychyliła się CDI.

Stan umysłów CDI ujawnia się w sposób wyjątkowo jaskrawy i zdumiewający zarazem na łamach "Defense Monitor" w roku 1987, w artykule zatytułowanym "Amerykańska inwazja na Nikaragwę: Pochwała decyzji". Raport przedstawia szczegółowy, dzień po dniu, przebieg hipotetycznej inwazji, kreśląc scenariusz, którego nie wysmażyłby cały legion Oliverów Northów. Z końcem pierwszego miesiąca, przy stratach szacowanych na raptem 200 poległych w akcji, siły USA nie tylko całkowicie opanują kraj, ale będą wręcz zdolne do wycofywania się. Raport kończy się jednak zastrzeżeniem, że inwazja byłaby krokiem ze wszech miar nierozważnym:

"Inwazja amerykańska zrodziłaby więcej komunistów niż by ich uśmierciła, ponieważ uciekający z Nikaragui sandiniści bez wątpienia rozniosą lęk, podejrzliwość i nienawiść do Amerykanów na cały obszar Ameryki Łacińskiej. Zaniepokoiłoby to nawet naszych najbliższych sprzymierzeńców w tym regionie, zadając kłam amerykańskiej wierności zasadzie samostanowienia, a ponadto zmniejszyłoby wiarygodność naszego rządu w oczach milionów własnych obywateli i przyjaciół za granicą".

Właściwie powinniśmy być wdzięczni CDI, że nie nazywa Nikaragui naszym nowym Wietnamem.

Większość obserwatorów obrony - organizacje takie jak CSIS, Heritage Foundation, Brookings Institution - zajmuje się ustaleniem maksymalizacji efektów militarnych przy założeniu utrzymania obecnych nakładów na obronę. CDI, dla odmiany, stale kombinuje, jak by tu zminimalizować efekty, a do tego jeszcze drastycznie obniżyć koszty. CDI twierdzi przy tym, że za oszczędzone na obronie sumy można by utrzymać szereg federalnych programów socjalnych. Także to twierdzenie różni CDI od pozostałych grup obserwacyjnych. Kiedy La Rocque mówi: "Mogliśmy być policjantem świata, kiedy byliśmy bogaci, ale teraz przyszła pora zaciskania pasa" - to nie kwestionuje on faktu, że dochód narodowy w USA jest obecnie wyższy niż był kiedykolwiek, a jedynie twierdzi, że pojawiły się sprawy ważniejsze niż obrona kraju. "Defense Monitor" z roku 1984 cytuje z uznaniem Marian

Wright Edelman z Fundacji Obrony Dzieci - dużej warszyngtońskiej grupy adwokackiej działającej na rzecz rozszerzenia państwowej opieki nad dziećmi:

"Planujemy konstrukcję 243 pocisków MX, z których każdy kosztuje około 100 milionów dolarów. Każdy niewyprodukowany pocisk tego typu pozwoliłby nam podnieść z dna nędzy 93 tysiące rodzin rocznie - rodzin, których jedynymi żywicielkami są kobiety. Gdybyśmy zrezygnowali z całego programu /MX/, pokrylibyśmy dwukrotnie potrzeby wszystkich biednych dzieci w USA i jeszcze starczyłoby nam funduszy na opłacenie rocznych studiów wszystkich kobiet będących jedynymi żywicielkami rodzin o niskich dochodach".

Inny numer "Defense Monitor" omawia kwestię wydatków militarnych USA na celc obrony Japonii i wykazuje, jak można by wykorzystać te same fundusze dla umocnienia pozycji przemysłu amerykańskiego w rywalizacji z przemysłem japońskim.

Brian McCartan, ekonomista z CDI, oświadczył w wywiadzie: "Wyobraźmy sobie społeczeństwo, które cały swój czas i energię poświęca na budowanie wałów obronnych i ostrzenie włóczni. A teraz wyobraźmy sobie drugie społeczeństwo, które w tym samym czasie dokonuje wynalazku koła i innych usprawnień. Na dłuższą metę wygra to drugie".

Należałoby w tym miejscu zdefiniować motywację La Roc ue'a i jego ekipy - czy jest to umiłowanie pokoju, które im każe na każdym kroku okazywać zaufanie Związkowi Sowieckiemu; czy może pragnienie rozbudowania w kraju systemu socjalnego, w oparciu - koniecznie! - o fundusze odebrane obronie; czy też może coś groźniejszego? Którąkolwiek z tych wersji przyjmiemy, faktem jest, że uporczywe potępienie przez CDI wszelkich systemów zbrojeń i równie uporczywe usprawiedliwianie Sowietów każą wątpić w szczerłość deklaracji CDI głoszącej, że jest to organizacja oddana sprawie skutecznej obrony Stanów Zjednoczonych. Wystarczy przyjrzeć się temu, co popiera i co propaguje CDI. "Mam wrażenie - powiedział redakcji "Navy Times" admirał Zumwalt - że jeżeli idea La Rocque'a zwycięży, moje dzieci nie dokończą żywota w wolnym kraju".

OTWIERANIE DROGI KOMUNIZMOWI
W AMERYCIE ŚRODKOWEJ

Podjęta 3 lutego 1988 r. decyzja Kongresu USA o zawieszeniu pomocy wojskowej dla nikaraguańskiego ruchu oporu zamyka cały epizod w historii amerykańskiej polityki zagranicznej. Grzebie ona niewątpliwie tzw. przez niektórych "doktrynę Reagana" i zapowiada, że bez względu na trwałe zmiany poczynione przez reaganizm w sferze polityki wewnętrznej, Partia Demokratyczna raz na zawsze odniosła zwycięstwo w dziedzinie polityki zagranicznej wobec Ameryki Środkowej, co potencjalnie pociąga za sobą istotne konsekwencje w odniesieniu do innych obszarów Trzeciego Świata.

Spojrzenie na ten problem pod innym kątem może, rzecz jasna, prowadzić do konkluzji bardziej optymistycznych. Niemal natychmiast po głosowaniu Kongresu nastąpiło zawieszenie broni i negocjacje między obiema stronami nikaraguańskiej wojny domowej - a więc fakty, na które sandiniści, wedle własnych uprzednich deklaracji, nigdy nie mieli się zgodzić. Można by więc mówić o triumfie wielostronnej dyplomacji, gdyż autorem projektu spodziewanego porozumienia był prezydent Kostaryki, Oscar Arias, a sam projekt wyrósł z konsultacji z przywódcami czterech innych narodów Ameryki Środkowej.

U podstaw planu Ariasa leży potrzeba zakończenia regionalnej wojny domowej, pokojowego rozwiązania konfliktów wewnętrznych poszczególnych krajów Ameryki Łacińskiej i położenia kresu interwencjom supermocarstw na obszarze międzymorza. Arias nawołuje do pojednania narodowego, amnestii dla rebeliantów i powołania demokratycznych instytucji. Są to wysokie wymagania jak na

Mark Falcoff był starszym konsultantem w Komisji Kissingera w Centralnej Ameryce i pracownikiem w Senackiej Komisji Spraw Zagranicznych w Kongresie 99 kadencji.

jeden instrument dyplomatyczny, sponsorowany w dodatku przez szefa państwa, które nawet nie ma armii, a zatem - jak zauważył sam Arias - jest całkowicie uzależnione od "opinii światowej".

Śmietnik historii pełen jest dokumentów postulujących łagodzenie konfliktów między narodami, czy też między ludami mającymi się przekształcić w narody. Lecz plan Ariasa ma większe ambicje: Arias chciałby dokonać przebudowy porządku politycznego w e - w n ą t r z poszczególnych krajów. Chociażby z tej racji plan jego budzi sceptycyzm. Jeżeli bowiem miałyby dojść do układów między rywalizującymi stronami, układy te musiałyby zostać wzmocnione - nie tylko przez komisje kontroli i siły nadgraniczne, lecz przez szersze porozumienie co do pożądaných skutków zgody. A właśnie tego brak w Nikaragui i w całej Ameryce Środkowej. Zamiast rzeczywistego porozumienia mamy więc plan dyplomatyczny wyrażający potrzebę chwili, którą jest ukrócenie amerykańskiej pomocy dla nikaraguańskich sił oporu. Poza tym jednym punktem partnerzy rzymskiej koalicji dalecy są od jednomyślności. Podobnie jak dalekie od jednolitości są realia, które plan Ariasa ma ambicję kształtować.

1.

Zacznijmy od Kongresu amerykańskiego. Prawdą jest, co niezmiernie powtarzają konserwatyści, że niektórzy członkowie tego ciała są gorącymi zwolennikami sandinistowskiej dyktatury w Managui. Ci są jednak nieliczni, nie ukrywają swoich przekonań, a ich nazwiska są powszechnie znane. Oni sami nie zdołaliby własnymi siłami osiągnąć sukcesu w kwestii ułatwienia konsolidacji drugiego na półkuli zachodniej rządu komunistycznego i otwarcia drogi trzeciemu. Faktem jest, że spiker Kongresu Jim Wright, jeden z naczelných architektów porozumienia Kongresu z prezydentem Ariasem, występuje w większości spraw nieco na prawo od centrum - przynajmniej w łonie własnej partii. Także wielu jego kolegów, którzy wspólnie z Wrightem postulowali przer-

wanie pomocy militarnej dla tzw. "contras"^x, w przeszłości niejednokrotnie popierali administrację Reagana w sprawie pomocy wojskowej dla Salwadoru, a ich głos - tak jak przy okazji poparcia Wrighta - był decydujący.

Należy się zatem domyślać działania innych mechanizmów, mających niewiele, lub nie mających nic zgoła wspólnego z Ameryką Środkową. Przede wszystkim wymienić należy tarcia między partiami: sprawa nikaraguańska okazała się wymarzonym biczem na administrację Reagana. Kilkakrotne badania opinii publicznej na przestrzeni ostatnich lat wykazały, że większość Amerykanów jest przeciwna udzielaniu pomocy wojskowej siłom oporu Nikaragui, przy czym proporcje głosów układały się jak dwa, a nawet trzy, do jednego. /Ta sama część społeczeństwa, w równie imponujących proporcjach, sprzeciwia się udzielaniu pomocy gospodarczej i wojskowej Salwadorowi i prawie wszystkim innym krajom/. Dzięki metodzie przedstawiania polityki Reagana jedynie w kategoriach środków - tj. broni i amunicji - a nie celów, Demokraci zdołali zdeorientować opinię publiczną co do istoty wspomnianych kwestii, stworzyć silny nurt izolacjonizmu i zdominować tzw. "sferę zasad moralności".

Co więcej, we wszystkich niemal okręgach kongresowych kraju aktywnie działają grupy pro-sandinowskie - często powiązane z Kościołami lub organizacjami zbliżonymi do Kościołów - których działalność daje się odczuć w Waszyngtonie i innych stolicach stanów, skutkiem czego wiele legislatur zabroniło już obecności jednos-

x. Termin "contras", wywiedziony ze słowa "kontrrewolucjonista", byłby trafny tylko przy założeniu, że sandiniści mają w Nikaragui wyłączność na nazywanie się rewolucjonistami. Termin ten sugeruje ponadto, że bojownicy ruchu oporu dążą do przywrócenia dawnego porządku - czegoś na kształt reżimu Somozy - co z całą pewnością nie jest możliwe, nawet gdyby takie były intencje ruchu oporu. A przede wszystkim termin "contras" sugeruje związek ruchu z dyktaturą Somozy, chociaż za czasów Somozy członkowie tych sił sprzeciwiali się najczęściej status quo.

tek Gwardii Narodowej USA w Hondurasie i Ameryce Środkowej w ogóle.

Nie słyszy się natomiast o oddolnych ruchach poparcia dla sił oporu, ani o publicznym dla nich poparciu. I nic dziwnego. Amerykanów nie wzruszają cudze wojny domowe, większość społeczeństwa nie wie nic lub prawie nic na temat Nikaragui /czy dowolnego innego kraju/, a to, co wiedzą ze środków masowej informacji - zwłaszcza audio-wizualnej - sprowadza się do stwierdzenia, że ruch oporu to banda rzezimieszków, handlarzy narkotykami i niedobitków reżimu Somozy. Dlatego też poparcie ruchu oporu oznacza poważne narażenie się obozowi Demokratów, co niejednen członek Kongresu odczuł na własnej skórze. Reprezentant Kongresu Les Aspin /Demokrata z Wisconsin/ omal nie utracił w jednym głosowaniu fotela przewodniczącego Izby Komitetu Sił Zbrojnych, a chodzą też pogłoski, że częściowo z tej samej przyczyny senator Bill Bradley /Demokrata z Nowego Jorku/ postanowił wycofać się z kampanii prezydenckiej w roku 1988. Nawet "dyżurny centrysta" Demokratów, senator Albert Gore Jr. głośuje konsekwentnie przeciwko udzielaniu pomocy militarnej.

Postawa Demokratów wobec Nikaragui jest charakterystyczna dla pewnego typu umysłowości, czy też, jak kto woli, temperamentu, ukształtowanego przez doświadczenia wietnamskie i przez to, co niektórzy nazywają "wymogami realizmu" polityki amerykańskiej. Z postawą tą wiążą się określone tezy: że obcokrajowcy lepiej od nas bronią interesów bezpieczeństwa USA, przynajmniej dopóki Białe Dom pozostaje w rękach Republikanów; że każda rewolucja jest skutkiem nędzy, chorób i głodu; że te siły polityczne w innych krajach, które dzisiaj otwarcie opowiadają się za marksizmem-leninizmem, mogą z chwilą objęcia władzy odstąpić od tej ideologii; że rządy totalitarne z czasem łagodnieją i stają się mniej groźne tak dla własnych społeczeństw, jak i dla USA, w przeciwieństwie do rządów autorytarnych; że te rządy Trzeciego Świata, które wchodzi w sojusze ze Związkiem Sowieckim zostały do tego niejako przymuszone naszą polityką alienacji; że w stosunku do wrogich nam krajów Trzeciego Świata

najlepszą strategią jest nieinterwencja, bez względu na jej koszty i konsekwencje; że - na odwrót - każda interwencja prowadzi do "nowego Wietnamu"; i wreszcie, że zwycięstwo "naszej strony" w konfliktach Trzeciego Świata /czy to w Angoli, czy w Nikaragui/ byłoby klęską polityczną w kategoriach moralnych, jeśli nie strategicznych.^x

Takie postawy łatwiej manifestować kiedy się jest w opozycji, niż kiedy się ponosi pełną odpowiedzialność za politykę zagraniczną. Są one efektowne w debatach kongresowych i nadają właściwy ton partii, która przegrała w czterech na pięć ostatnich wyborów, ma wszelkie szanse przegrać raz jeszcze - a jednak utrzymuje znaczną siłę i wpływy na szczeblu lokalnym. Należy też pamiętać, że opinia publiczna w Stanach Zjednoczonych potrafi się raptownie zmieniać - jak się o tym przekonała w latach 1979-80 administracja Cartera - to też przez cały rok 1987 wielu Demokratów drżało z obawy o wyniki głosowania w sprawie pomocy ruchowi oporu.

Aby się zabezpieczyć na niemiłą ewentualność, Demokraci z Kongresu długo szukali właściwego deus ex machina. W latach 1983-86 taką rolę pełnił projekt Contadory - wielostronna propozycja pokojowa, popierana wspólnie przez Meksyk, Panamę, Kolumbię i Wenezuelę. Contadora była monotonna listą 21 punktów, od nieinterwencji z jednej strony, po wprowadzenie instytucji demokratycznych z drugiej /tak jakby to nie były postulaty sprzeczne/. Jednak te kraje Ameryki Środkowej, które są najbardziej zainteresowane wynikami wojen domowych w Nikaragui i Salwadorze, jakoś nie miały ochoty powierzać swojej przyszłości Czwórcie Contadora, a już zwłaszcza Neksykowi, który - wbrew twierdzeniu

x. Jedynym wyjątkiem było poparcie dla postawińców w Afganistanie, wynikające w dużej mierze z niemożności zakwestionowania obecności Sowiećów w tym kraju, a także z przekonania, że porażka rebeliantów nie skłoniłaby w tym przypadku USA do wysłania własnych oddziałów na terytorium Afganistanu.

amerykańskich liberałów - nie cieszy się bynajmniej zaufaniem w krajach międzymorza.^x

Szczególny urok planu Ariasa polegał na tym, że był to dokument ś r o d k o w o a m e r y k a ŋ s k i, przedłożony przez prezydenta najstarszej i najtrwalszej demokracji w tym rejonie. Po licznych przepychankach, szantażach i pogróżkach dokument ten zaakceptowali nawet sandiniści, których z pewnością nie zachwycają obecne w nim obietnice demokracji i pojednania narodowego, ale którym ich amerykańscy przyjaciele wytłumaczyli, że przyjęcie planu będzie jedyną metodą pokonania administracji Reagana. Zanim Biały Dom przystąpił do kolejnego głosowania w sprawie pomocy siłom oporu, Arias otrzymał Pokojową Nagrodę Nobla, a kongresowi Demokraci mogli wystąpić z gotową alternatywą. Wielki sojusz amerykańskich Demokratów z sandinistami, prezydentem Kostaryki i Akademią Nobla nie mógł zawieść. Wizję Ariasa potwierdziła niejako decyzja przywódców sił oporu o przystąpieniu do rozmów z sandinistami: jeżeli plan okazał się do przyjęcia nawet dla ludzi pokroju Adolfo Calero, to jak mógłby go odrzucić Ronald Reagan?

A potem, w ramach jednej z najbardziej cynicznych intryg w historii Kongresu Amerykańskiego i jego polityki zagranicznej, 67 członków Kongresu - w tym szacowni reprezentanci: Thomas Foley, Tony Coelho, David Bonior i Dave McCurdy - posłali prezydentowi Reaganowi list z żądaniem "wszczęcia negocjacji ze Związkiem Sowieckim i rządem Nikaragui w sprawie wycofania perso-

x. Za wyjątkowo nieuczciwe /a może tylko nieprzemysłane/ uznać należy twierdzenie krytyków administracji Reagana z początku lat 80-tych o tym, że Meksyk lepiej zna region, a więc powinien zastąpić tam Stany Zjednoczone w roli głównego czynnika oddziaływań zewnętrznych. Gwatemala otwarcie krytykuje interwencjonistyczne pretensje Meksyku, a wspólne meksykańskie i francuskie dążenia do uznania guerilli Salwadoru za reprezentatywną siłę polityczną /1982/ obudziły gwałtowny sprzeciw nie tylko w Ameryce Środkowej, ale i na całym kontynencie Ameryki Łacińskiej.

nelu wojskowego, sprzętu i materiałów z Nikaragui".

Dlaczego pierwszy sekretarz Gorbaczow miałby pójść na coś takiego właśnie w chwili gdy Kongres USA przegłosował tezę, że wszystko - włącznie z obecnością w Nikaragui doradców oraz broni z bloku wschodniego - jest lepsze niż naciski na obalenie rządu, który ich do Nikaragui zaprosił. Jest to jedna z większych tajemnic naszego stulecia.

Odpowiedzialność za bezpieczeństwo Stanów Zjednoczonych nadal spoczywa na Białym Domu. Wiemy, że Kongres nie popiera sowieckiej ekspansji w Ameryce Środkowej /Kongres osobiście nam to powiedział!/, a nawet gdyby - dzięki prezydentowi Ariasowi - ekspansja ta wydała owoce, to wina za to rozproszy się na wiele zainteresowanych stron. Ten nowy wariant strategii "zachowania bezpiecznej odległości", praktykowanej już w Wietnamie, tym się tylko różni od oryginału, że Ameryka Środkowa leży raptem o dwie godziny lotu od Stanów Zjednoczonych.

2.

Plan Ariasa zawiera co prawda, odniesienia i do Salwadoru, i do Hondurasu, i do Gwatemali, jednak wiadomo, że terenem jego prawdziwego sprawdzianu będzie Nikaragua. Podstawową zaś kwestią nikaraguańską jest: na ile rząd sandinowski skłonny jest dopuścić pluralizm i pozory demokracji instytucjonalnej? Odpowiedź na to pytanie ma ścisły związek z międzynarodowymi powiązaniem Nikaragui: ktokolwiek zna ten kraj /i każde inne państwo latynoamerykańskie/ ten wie, że naród Nikaragui, choćby najskromniej reprezentowany przez parlament, prasę i system prawny, nigdy nie poprze decyzji przystąpienia do bloku sowieckiego. Właśnie dlatego od samego początku dekady sandinowskiej administracje amerykańskie - tak Cartera, jak i Reagana - uważały pluralizm i opór wobec Sowietów za warunki wzajemnie się stymulujące. W najgorszym razie Nikaragua stałaby się "drugim Meksykiem": krajem, w którym quasi-hegemonia partyjna dopuszcza opozycyjną działalność i propagandę /tak długo jak nie zagrażają one władzy

partii rządzącej/, a równocześnie zezwala na bujny rozkwit prywatnego sektora gospodarki. Trudno się dziwić, że taki układ sił podoba się nie tylko rządowi Meksyku, ale również innym rządóm południowoamerykańskim i niejednemu amerykańskiemu krytykowi administracji Reagana. Ci ostatni odznaczają się tym, że co pewien czas wyrażają głośno /i słusznie!/ troskę o brak swobód demokratycznych w Salwadorze, ale kiedy na wokandę dyskusji wkracza Nikaragua - natychmiast wygłaszają nam wykłady o brzemieniu historii i braku tradycji obywatelskich.

Największy problem w tym, że model amerykański podoba się wszystkim poza samymi Nikaraguańczykami - czy to będą sandiniści, czy opozycja obywatelska, czy ruch zbrojnego oporu. Sandiniści, jako zwolennicy marksizmu-leninizmu, nie wyobrażają sobie innej drogi politycznej jak ta, którą obrały Kuba, Angola czy NRD. W ich ideologii tradycyjny nurt autorytarny polityki nikaraguańskiej utożsamiany jest z ideologicznymi założeniami zwycięskiego ruchu rewolucyjnego. Mają pociąg do martyrologii, a swoją międzynarodową rangę zawdzięczają w dużej mierze temu, że pełnią rolę przynęty na USA. Ponieważ sami są zbyt słabi, żeby zagrozić Ameryce, muszą szukać silnych sojuszników. Jako reżim post-rewolucyjny nie mogą współpracować z Waszyngtonem, gdyż to podważyłoby ich powagę w oczach partii, kościołów i osób prywatnych w Europie Zachodniej, w Ameryce Łacińskiej, a nawet w samych Stanach Zjednoczonych - z których to źródeł czerpali pomoc finansową i polityczną. Byliby ponadto zmuszeni tłumaczyć się przed własnym narodem z konieczności utrzymywania armii większej niż armie wszystkich pozostałych państw Ameryki Środkowej razem wzięte oraz z systemu wojskowej dyscypliny, jakiego nie znano nawet przez trzydzieści lat rządów dynastii Somozy.

Jednak najistotniejszym powodem, dla którego sandiniści nie mogą w tej chwili zmienić barw jest to, że przez ostatnie dziewięć lat rządili Nikaraguą tak fatalnie, iż nie mogą dopuścić do kwestionowania swojej polityki nawet w sprawach marginalnych. Dlatego w roku 1986 zamknęli opozycyjną gazetę "La Prensa" /i Radio

Catolica/ i długo odmawiali jej ponownego uruchomienia, chociaż Kongres tłumaczył im, że inaczej nie da się obalić wniosku prezydenta Reagana o pomoc dla Nikaragui. Skoro Arias odniósł sukces tam, gdzie inni przegrywali, można postawić pytanie, czy to znaczy, że w Managui zapanował nowy, trzeźwy pragmatyzm?

Nie ma na to zbyt licznych dowodów. Istotnie, wypuszczono na wolność część więźniów politycznych. Jednakże, jak ustaliła nikaraguańska Stała Komisja Praw Człowieka, z 985 zwolnionych z więzień w sierpniu ubiegłego roku, 50 osób było przedstawicielami sandinowskich sił militarnych, a 200 osób odsiedziało swoje wyroki niemalże do końca. W zamknięciu pozostaje nadal około ośmiu tysięcy więźniów. Prezydent Ortega zobowiązał się zwolnić jeszcze trzy tysiące pod warunkiem, że ludzie ci opuszczą kraj, jeżeli zawieszenie broni nie dojdzie do skutku. Biskupi nikaraguańscy podkreślają, że nie należy utożsamiać przymusowej emigracji z amnestią. Tymczasem zniesienie dekretu o stanie wyjątkowym z marca 1982 nie ma wpływu na takie dziedziny jak aresztowanie i sądenie więźniów politycznych, cenzura prasy czy prawo do strajku.

Dnia 3 marca - a więc na miesiąc przed przewidzianą datą odcięcia pomocy USA dla ruchu oporu - prezydent Ortega oświadczył, że Ministerstwo Sprawiedliwości zostaje rozwiązane, a jego funkcje przejmuje Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. MSW w Nikaragui jest agendą rządowych sił bezpieczeństwa wewnętrznego, a na jego czele stoi Tomas Borge powszechnie uważany za najtwardszego przedstawiciela dziewięcioosobowej rady rządzącej. Krótko mówiąc: rząd pozbył się ostatniej niezależnej instytucji sądowniczej, a funkcje śledcze i wymiar sprawiedliwości powierzył jednemu ciału.

Wpływ tego posunięcia na sytuację opozycji obywatelskiej jest już widoczny w nasilonych represjach życia publicznego. Czego przez dziesięć lat nie dokonywały cenzura, banicja i więzienia, tego dziś dokonują akcje tak zwanych turbów - gangów brutalnie tłumiących zgromadzenia opozycji i tłamszących wszelkie indywidualne

próby egzekwowania praw obywatelskich. Zwłaszcza dwie organizacje stanowią cele ataku turbów: Ruch Matek Więźniów Politycznych i Stała Komisja Praw Człowieka. Ostatnio turbowie zostali skierowani do atakowania demonstracji sił opozycyjnych, w tym manifestacji zorganizowanej przez liberalne i komunistyczne związki zawodowe dla zaprotestowania przeciwko kontroli płac, poborowi wojskowemu i zamykaniu fabryk wskutek rosnącej niewydolności systemu energetycznego Nikaragui.^x Dnia 6 marca grupa około 100 kobiet odbywających pokojowy marsz protestacyjny przeciwko poborowi do wojska natknęła się na 150-osobowy oddział zbrojnych w płaki turbów, który to incydent waszyngtońskie pismo "Post" /8 marca 1988/ nazwało "najbardziej agresywnym od lat użyciem chuliganerii sandinowskiej przeciwko opozycji".

Po tym wypadku powstał dokument wyliczający cele akcji sandinistów w roku 1988 - w tym akcji z zastosowaniem "terroru rewolucyjnego". Dokument ostrzega, że masowe wypuszczanie na wolność więźniów, w myśl planu Ariasa, stworzyło "wybuchowy potencjał zagrażający siłom rewolucyjnym" i zaleca politykę stanowczości z utrzymaniem armii jako czynnika kontroli partii sandinowskiej. "Nie możemy dopuścić do tego", czytamy w dokumencie, "aby rzeczywiste struktury władzy przeszły w ręce burżuazji". W tym celu dokument nawołuje do zastosowania "wszelkich środków dla podzielenia i rozszczepienia opozycji", dodając przy tym: "Na razie nie możemy zrezygnować z używania terroru rewolucyjnego".

Mimo, iż rząd nikaraguański pospiesznie zdementował autentyczność cytowanego dokumentu i nazwał go "brutalnym fałszerstwem", sam dokument z zadziwiającą akuracnością oddaje ducha i literę publicznych i prywatnych wypowiedzi przywódców sandinowskich od roku co najmniej 1979, a przy tym jest jak najbardziej zgodny z metodami

x. Podobnie jak kiedyś w Egipcie prezydenta Nassera, tak i tutaj Sowieci postanowili poświęcić jednego sojusznika - Nikaraguańską Partię Socjalistyczną - aby wejść w alians z odnoszącym większe sukcesy przywództwem rewolucyjnym.

działania sandinistów. Pewien urzędnik sandinowski, po przejrzeniu dokumentu, powiedział redaktorowi Stephenowi Kinzerowi z nowojoskiego "Times'a" /7 kwietnia 1988/, że dla niego tekst ten wygląda na autentyczny.

Jednocześnie obserwujemy zamieranie przejawów wolności prasy, które pozwoliły Kongresowi Stanów Zjednoczonych głosować przeciwko pomocy dla sił oporu. Po czternastu miesiącach milczenia "La Prensa" ukazała się ponownie we wrześniu 1987. Jednak już w kwietniu 1988 r. ni stąd ni zowąd zabrakło dla niej papieru drukarskiego, który w Nikaragui można uzyskać tylko i wyłącznie od rządu. Rząd tłumaczył się, że statek sowiecki z transportem papieru został opóźniony przy wejściu do portu Corinto na Pacyfiku, co wszakże nie przeszkodziło dwóm gazetom rządowym - "Barricada" i "El Nuevo Diario" - ukazywać się bez zakłóceń. Tymczasem w lutym i marcu turbowie zaatakowali strajkujących robotników: według nowojorskiego "Times'a" /14 kwietnia 1988/ w jednej z konfrontacji zginęli dwaj przywódcy robotników. A więc zbiorowe negocjacje są już nielegalne w najmłodszej socjalistycznej utopii.

Ktoś mógłby spytać ze zdziwieniem, dlaczego w takim klimacie przywódcy sił oporu mimo wszystko wierzą na słowo sandinistom i zasiadają z nimi do konferencyjnego stołu. Odpowiedź brzmi: opuszczeni przez amerykańskich sojuszników nie mieli innego wyjścia, jak poddać się i mieć nadzieję na pomyślny obrót sprawy. Znacznie mniej optymistycznie nastawieni są ci przeciwnicy reżimu - starzy i nowi - którzy nigdy nie występowali przeciwko niemu z bronią w ręku. Prokurator stanowy i nikaraguański delegat ONZ-owskiej komisji praw człowieka /obaj poprosili o azyl 2 marca/ oskarżają sandinistów o torturowanie aresztowanych, przetrzymywanie więźniów politycznych i fałszerstwa sądowe. Jeden z nich wyraził się wręcz, że dzisiejsza Nikaragua przechodzi "społeczny dramat stalinizmu".

Lepiej by było, gdyby sandiniści przestali szaleć, ustatkowali się i przyjęli rolę potulnych pragmatyków rewolucyjnych, takich jacy potrzebni są amerykańskim liberałom, kongresowym demokratom i prezydentowi Aria-

sowi. Cierpiącemu od dawna narodowi nikaraguańskiemu też by się to przydało. Na razie plan Ariasa, wyeliminowawszy siły oporu jako czynnik militarny, deklaruje bezradność w sytuacji, gdyby sandiniści mieli kontynuować obecną linię postępowania.

3.

Jeszcze przed lutowym głosowaniem Kongresu wiadomo było, że jeżeli Nikaragua zostanie pozostawiona własnemu losowi, Salwador znów stanie się kością niezgody w Stanach Zjednoczonych. Przede wszystkim siły zbrojne Salwadoru, które od roku 1981 poczyniły ważne postępy na wielu obszarach, nie zdołały jednak, jak dotąd zlikwidować bojówek guerilli FDR-FMLN. Po wtóre, ponieważ powstańców nie stać już na ofensywy, które jeszcze sześć lat temu realnie zagrażały rządowi, chwycili się oni innych metod: porwań, zamachów i niszczenia urządzeń produkcyjnych, z niemałą werwą i skutecznością. W samym tylko roku 1986 dokonali zniszczeń w infrastrukturze kraju na sumę miliarda dolarów. W tym samym roku pomoc USA dla rządu salwadorskiego zamknęła się kwotą około 536 milionów dolarów, z czego większość przeznaczono na spłatę długów. A zatem rząd prezydenta Josego Napoleona Duarte militarnie zdobywał, co prawda, kolejne obszary kraju, ale jednocześnie zmuszony był - mówiąc metaforycznie - nieustannie biec, i to nawet nie po to, żeby się utrzymać w miejscu, ale po to, by nie dopuścić postępującego schyłku gospodarczego do granic katastrofy.

Cenę polityczną przyszło zapłacić 20 marca 1988, kiedy to prawicowa partia Arena zdobyła największą liczbę miejsc w Zgromadzeniu Narodowym, co dało do zrozumienia, że w razie utrzymania się panujących tendencji, następnym prezydentem, w roku 1989, może zostać nie chrześcijański demokrat, jak Duarte, lecz właśnie ktoś z prawicy. Najsłynniejszą postacią partii Arena jest Roberto D'Aubuisson, emerytowany major, często i głośno oskarżany o powiązania ze sławetnymi szwadronami śmierci. Nie jest on jednak ani przywódcą partii Arena, ani jej czołowym reprezentantem, co sa-

mo w sobie stanowi przesłankę do traktowania Areny poważnie.

Wiedza większości Amerykanów o Salwadorze, a także o innych państwach Ameryki Łacińskiej, zaczyna się i kończy na poziomie folkloru. Jeszcze dziś, po siedmiu latach obfitej informacji na temat polityki Salwadoru nadawanej przez amerykańskie środki masowej informacji, słyszy się, nawet w wystąpieniach publicznych w Waszyngtonie, uwagi o "oligarchii" salwadorskiej albo o "sześćdziesięciu rodzinach" - tak jakby społeczeństwo mogło się składać z małej wysepki tych, którzy mają wszystko i oceanu tych, którzy nie mają nic. A przecież Salwador ma rozbudowane klasy średnie - ubogie wedle standardów amerykańskich, ale nie wedle salwadorskich - do których też należy pewna część majątku kraju. Inaczej postać tak odpychająca jak D'Aubuisson nie zdobyłaby 44% głosów wyborczych, do czego doszło w czasie wyborów prezydenckich w roku 1983.^x

Awans partii Arena jest w pewnym sensie typowym przejawem trendu do re-demokratyzacji Ameryki Łacińskiej - co oznacza nie tylko, że w wyborach zwyciężają demokraci, ale i to, że opozycja rzuca im skuteczne wyzwania w kolejnych wyścigach do władzy. W całym regionie rozczarowanie sytuacją gospodarczą działa na korzyść "obcych" - nawet w Argentynie, gdzie peroniści szykują się do ponownego objęcia prezydentury w roku 1989. Salwador cierpi nie tylko na inflację i bezrobocie: w Salwadorze trwa wojna i ktoś musi ponieść odpowiedzialność za jej koszty. Chrześcijańscy demokraci narzucili do tego krajowi reformy rolne i podatkowe, które - bez względu na ich obiektywną wartość moralną i polityczną - wywołały w gospodarce efekt poślizgu. Jeżeli Salwador ma się rozwijać jako demokracja, należy mu zagwarantować prawo do rozwią-

x. D'Aubuisson zdobyłby nawet więcej głosów, gdyby nie to, że USA /a raczej CIA/ zainwestowały skrycie w kampanię Duarte'go milion dolarów, który to fakt ujawnił wkrótce potem senator Jesse Helms /Republikańsin z Północnej Karoliny/.

zywania naczelných problemów ekonomicznych i społecznych drogą negocjacji i porozumień. Niestety wygląda na to, że Arena uniemożliwi takie działanie.

Przyczyna jest prosta. Rozbieżności światopoglądowe obywateli Salwadoru sięgają od zajadłej lewicy do zajadłej prawicy, ale olbrzymia większość obywateli skupia się w okolicach centrum. Za to Kongres USA, rozpatrując warianty rozwoju sytuacji w Salwadorze, waha się między lewicą centrystyczną a skrajną lewicą. Jeżeli Arena wygra najbliższe wybory i obali reformy Duarte'go, może to dla niej oznaczać utratę amerykańskiej pomocy militarnej i gospodarczej. Jeżeli partia ta okaże się tak dalece nietaktowna, że jako kandydata na prezydenta wysunie D'Aubuissona - utrata pomocy amerykańskiej jest gwarantowana.

Podobnie jak lewica, także prawica salwadorska dzieli się na "polityczną" i "anty-polityczną" /innymi słowy: na pokojową i wojowniczą/. Wydawałoby się, że w interesie Stanów Zjednoczonych leży utrzymanie elementu cywilizowanego w obu obozach. Prawdą jest jednak, że nawet gdyby prezydenturę z mandatu Areny zdobył ktoś znacznie szacowniejszy niż D'Aubuisson - powiedzmy, Alfredo Cristiani, wybitny biznesmen i działacz obywatelski - to i on pracowałby pod presją złej opinii. A przecież jeżeli Arena wygra wybory uczciwie, a mimo to będzie krytykowana, to dojdzie do wniosku, że nie warto było starać się o status rzetelnej siły politycznej. Wówczas to elementy prawicy, które wierzą w dyskusję i współpracę, przegrają na rzecz zwolenników ostrych metod.

Nawet gdyby chrześcijańscy demokraci utrzymali się u władzy, nie przestaną istnieć problemy stosunków między USA a Salwadorem. Nasilający się w Waszyngtonie ascetyzm budżetowy musi spowodować rewizję zasad udzielania pomocy zagranicznej, w odbiorze której udział Salwadoru jest ogromny. Paradoxem jest, że ta sama polityka masowej redystrybucji, która zapewniła chrześcijańskim demokratom szacunek Kongresu USA, dyskredytuje ich strategię ekonomiczną w oczach opinii krajowej. W chwili obecnej amerykańska polityka pomo-

cy Salwadorowi ma cele polityczno-wojskowe, które nie mogą się zmienić tak długo, jak długo trwa wojna - nawet gdyby okazały się chybione. Biorąc jednak pod uwagę sabotaż guerilli i jego skutki, należy wątpić w skuteczność pomocy USA.

W konsekwencji tej sytuacji nowy rząd chrześcijańsko-demokratyczny może w roku 1989 znaleźć się pod presją wynegocjowania porozumienia z FDR-FMLN, zwłaszcza gdyby Biały Dom odzyskali Demokraci. A nawet jeśli do tego nie dojdzie, Kongres może znacznie ograniczyć pomoc gospodarczą i militarną dla zagranicy. Termin "współwładza", który zrobił tak zawrotną karierę w sezonie politycznym 1981, może powrócić do łask w Waszyngtonie, oferując pozornie łatwe wyjście z trudnej sytuacji.

Nie ma powodu przypuszczać, że partyzanci zrezygnują z sięgnięcia po najwyższe zaszczyty. Mają wszak po sąsiedzku zwycięskiego sojusznika, który dowiódł, że można pokonać Stany Zjednoczone ich własną bronią. Joaquín Villalobos, jeden z pięciu przywódców guerilli, w wywiadzie telewizyjnym 8 marca powiedział: "Administracja Reagana słabnie z dnia na dzień". W związku z tym ostrzegł Duartego i jego generałów, że "powinni rzecz przemyśleć. Nie wszystkie okoliczności im sprzyjają. Sytuacja ulegnie zmianie, a oni mają jeszcze czas na zajęcie niezależnej pozycji" - co znaczy: na zerwanie stosunków ze Stanami Zjednoczonymi.

Co do amerykańskiej opinii politycznej, głównym argumentem za pozostaniem w Salwadorze są dla niej w tej chwili już poczynione inwestycje materialne i moralne. Kiedy jednak przeminie era Ariasa, wyłonią się nowe i kuszące argumenty za porzuceniem sprawy, która zdaniem wielu jest już od dawna przegrana. Jeżeli w oczach polityków każde posunięcie jest lepsze niż próba obalenia sandinistów w Nikaragui, to czy nie wynika stąd logicznie, że nie ma nic gorszego niż próba powstrzymania FDR-FMLN od objęcia władzy w Salwadorze?

Należałoby wyjaśnić, dlaczego ta druga perspektywa wystarcza dla przyznania pół miliarda dolarów pomocy rocznie, podczas gdy sytuacja w Nikaragui - z uwzględ-

nieniem sowieckiego uzbrojenia i wyszkolenia - takiej pomocy nie prowokuje.

4.

Niektóre z powyższych pytań należałoby również zadać pod adresem Gwatemali, gdzie rząd chrześcijańsko-demokratyczny czyni rozpaczliwe wysiłki celem zdobycia dla siebie skrawka przestrzeni między ruchem guerrilli na lewicy a szwadronami śmierci na prawicy. Nie jest tajemnicą, że jednym z głównych powodów, dla których wojskowi gwatemalscy postanowili wreszcie przed dwoma laty ogłosić wybory było ich przekonanie, że jest to jedyny sposób na uzyskanie poparcia Kongresu USA, a nawet administracji Reagana. Były jednak i pozytywne inicjatywy. Przedstawiciele USA od dawna twierdzili, że istnieją lepsze sposoby walki z komunizmem niż brutalność i bezczelne gwałcenie praw człowieka. Niestety, układ nikaraguański daje gwatemalskiej prawicy asumpt do interpretowania polityki amerykańskiej jako nagłego zwrotu ku doktrynie "pluralizmu ideologicznego" - a więc obojętności na samą istotę reżimu. Jeżeli Waszyngton potrafi się dogadać z komunistami w Nikaragui - spytają niektórzy - to dlaczego miałyby odrzucić "silny" rząd w Gwatemali, zwłaszcza jeżeli byłby to rząd związany ze Stanami Zjednoczonymi? Gdyby zaś do tego doszło, to co się stanie z wpływami w Gwatemali, na które ciężko pracowały aż dwie administracje?

W Hondurasie sprawy mają się nieco inaczej. Jako najuboższa i najbardziej zacofana republika Ameryki Środkowej - chociaż Nikaragua pod rządami sandinistów ma szanse już wkrótce ubiegać się o ten honor - Honduras nigdy nie był istotnym obiektem amerykańskich interesów strategicznych. Obecne zainteresowanie Hondurasem wynika z położenia geograficznego tego kraju i jego chęci /pomimo oficjalnych dementi/ zezwolenia nikaraguańskim siłom oporu na działanie ze swojego obszaru. Nowe stosunki z USA nie są bynajmniej jednostronne: Honduras zajmuje dziś o wiele ważniejsze niż kiedykolwiek dotąd miejsce w budżecie pomocy dla zagranicy, a przyjęty przez amerykańską politykę wobec

Ameryki Środkowej wymóg jednolitości zmusza przedstawicieli amerykańskich do bliższego zainteresowania się rozwojem demokratycznych struktur w Hondurasie.

Nie jest to bez znaczenia dla kraju, który ma równie długą - choć może nie tak krwawą - historię rządów militarnych jak Gwatemala czy Salwador. Niedawne wybuchy antyamerykańskich zamieszek w Tegucigalpie można interpretować wielorako, ale jedną z ważniejszych ich przyczyn jest bez wątpienia niezadowolenie społeczeństwa Hondurasu z perspektywy pozostania na łasce i niełasce sąsiada uzbrojonego po zęby przez inne supermocarstwo i dyszącego chęcią zemsty. Wydaje się, że Hondurasowi należą się ze strony USA jakieś gwarancje bezpieczeństwa za rolę jaką odegrał w przeszłości. Nawet jeżeli ci, którzy chcą "naprawiać" politykę, uważają dawne posunięcia za złe, czy wręcz niemoralne - to dlaczego mieliby za to nagrodzać innego winowajcę? I dlaczego oddziały Hondurasu miałyby pozostać w barakach w sytuacji, gdy Stany Zjednoczone zmieniają politykę i zaczynają szanować lokalne preferencje polityczne, nawet te dalekie od demokracji?

5.

Z dobrze poinformowanych źródeł wiadomo, że prezydent Kostaryki Oscar Arias bardziej się boi Ronalda Reagana niż Daniela Ortegi. Jeżeli tak, to czeka go niebawem próba charakteru, gdyż pierwszy z wymienionych prezydentów opuszcza biuro, podczas gdy drugi z całą pewnością utrzyma się na stanowisku. Kostaryka jest pod wieloma względami wzorem demokracji, z tym że podobnie jak inne państwa Ameryki Środkowej systematycznie traci wiarygodność ekonomiczną. Wzorem reszty krajów tego regionu Kostaryka zaciągnęła w latach 70-tych ogromne pożyczki, tak u kapitałów prywatnych, jak i państwowych, a jej sektor gospodarki upaństwowionej jest na wielu odcinkach nieopłacalny. Nastąpił ponadto przerost funkcji opiekuńczych państwa wyrosłych na sieci porozumień partii i klientów; ceny eksportu /kawy, cukru, bawełny/ są niskie, zaś ceny niezbędego importu /zwłaszcza ropy naftowej i innych

surowców/ - bardzo wysokie.

Revolucja nikaraguańska dodatkowo skomplikowała ten obraz, niwecząc znikomą nić zgodności systemowej, która uniemożliwiła powstanie Wspólnego Rynku Ameryki Środkowej i napędzając strachu sektorowi prywatnemu, który od roku 1979 wielkie ilości kapitału przerzucił za granicę. Trzeba otwarcie powiedzieć, że Kostaryka od blisko dziesięciu lat żyje dzięki międzynarodowej pomocy charytatywnej, a czołowe miejsce wśród jej dobroczyńców zajmują Stany Zjednoczone.

Sytuacja taka jest w pewnym sensie logiczna: Stany Zjednoczone nie mają w tym regionie innych przyjaciół, z których mogliby być równie dumni jak z Kostaryki. Kostaryka jest modelem państwa, który Stany Zjednoczone chciałyby odtworzyć w Salwadorze, w Gwatemali i w Hondurasie. Samo istnienie demokratycznej - a raczej socjaldemokratycznej - wspólnoty tuż za granicą Nikaragui stanowi niemałe zagrożenie dla sandinistów, zadając kłam ich oświadczeniom, że jedynym wyjściem z epoki oligarchii i szwadronów śmierci jest ich własna droga, będąca syntezą wynaturzonego nacjonalizmu i totalitaryzmu.

Sprawy wewnętrzne Nikaragui znajdują wyraźne odbicie w Kostaryce. Jak mawiał poprzedni prezydent Daniel Odubar "ta strona, która przegra wojnę domową w Nikaragui, przeniesie się do Kostaryki". Gdyby jednak tą stroną okazał się dyktariat sandinowski, to wątpliwe, czy wybierze on sobie właśnie Kostarykę na kraj osiedlenia. Na razie z Nikaragui do Kostaryki przeniosły się setki tysięcy obywateli - jedna dziesiąta całej populacji. Jeżeli plan Ariasa się nie powiedzie, będzie ich znacznie więcej.

Na nieszczęście, prezydent Arias nie traktuje łącznie kwestii ekonomicznej i politycznej Nikaragui, lecz widzi je jako dwie odrębne dziedziny. On sam i jego dyplomaci uważają, że Stany Zjednoczone i inne kraje zachodnie powinny dążyć do uczynienia Kostaryki "strefą pokoju", zapewniając jej wszelką pomoc materialną konieczną dla przeciwdziałania rewolucyjnemu zagrożeniu ze strony sąsiada. Zagrożenie jest wystarczająco

jąco silne, aby usprawiedliwić roczną pomoc USA w wysokości 250 mln dolarów, jednak nie dość silne; żeby skutecznie przeciwdziałać mu od podstaw, Europejska Wspólnota Gospodarcza też uległa argumentom Ariasa i wyznaczyła pomoc finansową - a zatem tropikalna odmiana "wilsonizmu" w wydaniu Ariasa przyniosła na krótką metę całkiem obfite plony.

Tego typu działań nie można wszak ciągnąć w nieskończoność. Użyteczność Ariasa dla Europy Zachodniej - a szczególnie dla socjaldemokratów skandynawskich, którzy tak ochoczo obdarowali go Nagrodą Nobla - sprowadza się głównie do tego, że jest on przeciwnikiem prezydenta Reagana i ruchu oporu w Nikaragui. Z chwilą, gdy Reagan i nikaraguański ruch oporu znikną ze sceny politycznej, zainteresowanie Europy Zachodniej osłabnie. W końcu jej własne interesy w tym rejonie są znikome i pozbawione perspektyw wzrostu. Stanie się tak zwłaszcza w sytuacji, gdyby opinia polityczna USA przyjęła stanowisko, że Ameryka Środkowa nie ma wpływu na bezpieczeństwo Stanów Zjednoczonych - który to pogląd lansują już dziś dwaj kandydaci Partii Demokratycznej.

Dlatego już wkrótce może dojść do znacznego ograniczenia budżetu pomocy dla Kostaryki i to bez związku z planem Ariasa. Możliwe, że Arias, zamiast pozostawić po sobie solidną amerykańską emeryturę dla kraju, pozostawi Kostarykę pozbawioną znaczenia politycznego i osłabioną w powiązaniach z USA. Perspektywa taka jest znacznie bardziej prawdopodobna niż to, co się wydaje Ariasowi: dyktatura nikaraguańska może - wzorem Kuby - trwać w nieskończoność, w oparciu wyłącznie o broń i policję. A zatem demokracja kostarykańska powinna więcej myśleć o własnym narodzie.

6.

Na koniec wypada powiedzieć parę słów o nieudolności administracji Reagana w rozwiązywaniu problemów Ameryki Środkowej. Od samego początku należało uświadamić opinii publicznej wzajemne powiązania zdarzeń w tym regionie; należało wyraźnie stwierdzić, że cokolwiek się stanie w Nikaragui, wpłynie na Salwador, na Kostarykę,

na Honduras i że nie może być inaczej. Z chwilą gdy sandiniści ujawnili swoje sztandary, należało bezwzględnie zerwać stosunki dyplomatyczne i narzucić embargo handlowe.

A przede wszystkim należało objaśnić czynnik geopolityczny. Od roku 1979 Sowieci dostarczyli Nikaragui pomoc wojskową przekraczającą 2,5 miliarda dolarów /z tego ponad połowę od roku 1985/. Jest to ogromna inwestycja, jak na państwo, o którym stale mówi nam się, że cierpi na poważny przerost w sferze międzynarodowej i "nie jest zainteresowane" Ameryką Środkową. Jednak wyłożenie tej prawdy na stół mogło przerwać postępy w stronę szczytu, toteż sprawę zepchnięto na plan dalszy. To z kolei umożliwiała przedstawienie problemu amerykańsko-nikaraguańskiego jako zwykłej szamotaniny - jak to ujął pewien weteran żurnalizmu - między "gringosami a latynosami", czy też inaczej: między upadającym supermocarstwem a jego kłótliwym eks-klientem, podczas gdy w istocie chodziło o spór między Stanami Zjednoczonymi a krajami wspomagającymi sandinistów, takimi jak Związek Sowiecki, Kuba, NRD, Bułgaria i Libia, oraz quasi-politycznymi społecznościami typu Organizacja Wyzwolenia Palestyny.

CIA pod wodzą zmarłego niedawno Williama Caseya nie zaufała Kongresowi, a tym samym nie dopuściła do współpracy tych senatorów i kongresmenów, którzy skłonni byli słuchać głosu rozsądku. Co więcej, działając w ukryciu - co, zważywszy na stawkę gry i liczbę pośredników, przez których ręce przechodziła "tajna" pomoc, musiało się wydać - administracja dała swoim oponentom pretekst do zmonopolizowania uwagi opinii publicznej na cały rok legislacyjny 1987.^x

x. Powstała cała książka na temat metod, jakimi urzędnicy senatu w sojuszu z lewicowymi dziennikarzami w Kostaryce i gdzie indziej rozdmuchiwali aferę "contragate" grubo ponad jej rzeczywiste rozmiary. Faktem jest, że administracja Reagana powinna się była już dawno zorientować, że nie należy podejmować tajnych działań na tak wielką skalę bez minimalnego choćby poparcia Kongresu.

Prezydent nie potrafił przekonać opinii publicznej do swoich poglądów. Nie trzeba było przypisywać wodzom ruchu oporu cnót ojców - założycieli Ameryki: należało ich oceniać w ich własnych kategoriach, kontrastując z przeciwnikami /i sojusznikami tychże/. Charakterystyczne, że najlepsze wystąpienie Prezydenta o pomoc dla ruchu oporu było zaprojektowane przez dysydenta Partii Demokratycznej, byłego kandydata na wiceprezydenta, Waltera Mondale'a. Demokraci wykazali, ogólnie rzecz biorąc, karygodny brak odpowiedzialności, jednak całkiem możliwe, że lepsza polityka w łonie Białego Domu mogła im w tym zapobiec.

7.

Kiedy Ted Koppel z ABC zapytał prezydenta Ariasa, jakie postępowanie zaleca na wypadek gdyby sandiniści nie dotrzymali umów o przerwaniu ognia, Arias odpowiedział: "Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie". Widać stąd, że prezydent Arias nawet nie dopuszcza do siebie takiej ewentualności - bo jak by wówczas wyglądał? W nowym kontekście układu wielostronnego, ujawnienie poważnych uchybień ze strony sandinistów /między innymi złamanie obietnic dotyczących pluralizmu wewnętrznego/ miałyby dalekosiężne konsekwencje polityczne. Każde dementi i każde badanie zarzutów musiałyby doprowadzić do sytuacji bez wyjścia. Zdaniem niektórych członków administracji prezydent Arias ma nadzieję, że w razie niepowodzenia planu Stany Zjednoczone uchronią go przed dylematem przez jednoznaczne postawienie sprawy i podjęcie odpowiednich akcji - bardzo możliwe, że spotka go gorzki zawód.

I tak wracamy do punktu wyjścia. Jeżeli "doktryna Reagana" padła, to nowym celem amerykańskiej polityki zagranicznej jest unikanie zaangażowania w konflikty Trzeciego Świata. W tym świetle należy się opowiadać - w myśl tej polityki - za promocją demokracji, ale tylko w krajach sojusznicznych wobec Stanów Zjednoczonych. Jeżeli którekolwiek z tych państw wejdzie w orbitę sowiecką, nie należy burzyć nowego status quo, bez względu na jego opłakane konsekwencje - i to nie

tylko dlatego, żeby nie angażować w konflikt oddziałów amerykańskich, ale także w obawie przed wytworzeniem stronnictw i lokalnych sojuszników USA.

Wygląda to na receptę szykowania gruntu pod zasiew komunizmu. Trudno przewidzieć, jak długo może trwać taka polityka, zanim przyjdzie za nią zapłacić poważne, a może katastrofalne koszty polityczne, tak wewnątrz kraju, jak i za granicą. Niebawem możemy się o tym przekonać.

WIĘZIENIA SOCJALISTYCZNE A ZNIEWOLONE UMYSŁY

Źródłem niestabilności amerykańskiej polityki zagranicznej jest między innymi zmieniający się stale obraz naszych przeciwników oraz ciągle niezrozumienie ich celów. Dotyczy to przede wszystkim Związku Sowieckiego i innych państw komunistycznych. Chociaż w niektórych przypadkach na naszą opinię wpływają wewnętrzne przemiany zachodzące w tych krajach, częściej jednak odzwierciedla ona wyraźne amerykańskie tendencje kulturowe nie związane z ich charakterem i polityką. Stała konfrontacja ze zdecydowanie wrogim systemem politycznym, której wyników nie sposób przewidzieć, wydaje się być koncepcją szczególnie ryzykowną, a zatem trudną do zaakceptowania przez Amerykanów - zarówno przez zwykłych obywateli, jak i przez członków elity politycznej. Jeszcze trudniej jest im zaakceptować istnienie międzynarodowych animozji wynikających nie tyle z powodu jawnej sprzeczności interesów gospodarczych, czy geopolitycznych co ze względu na poglądy, ideologię.

Niezachwiany amerykański optymizm dotyczący możliwości współżycia ze wszystkimi narodami lub osiągnięcia w razie konfliktu kompromisu satysfakcjonującego obie strony stanowi jeden z czynników, które utrudniają realistyczną ocenę naszych przeciwników. Wiara w pozytywne rozwiązanie sporów, pod wieloma względami godna uznania, wypływa z amerykańskiego charakteru narodowego oraz tradycji kulturalnych, a potęguje ją ethos polityczno-gospodarczy o wyraźnych tendencjach legalistycznych. Oprócz tego utwierdzana jest ogólną tendencją do widzenia korzyści w zmianach; być może

Paul Hollander jest profesorem socjologii na Uniwersytecie stanu Massachusetts w Amherst i adiunktem w Rosyjskim Ośrodku Naukowym na Uniwersytecie Harvarda.

dzisiaj nasi nierozsądni przeciwnicy są nastawieni wrogo, ale wcześniej czy później z pewnością naprawią swoje błędy. Amerykanie, nie wyłączając wysokich urzędników, polityków, czy pracowników naukowych, skłonni są w wyrażonej werbalnie wrogości wobec nich dopatrywać się jedynie figury retorycznej lub przejawu propagandy, który nie odzwierciedla prawdziwego stanowiska wspomnianego przeciwnika /dotyczy to zwykle Związku Sowieckiego/. Jednocześnie członkowie amerykańskiej elity każde mniej jadowite oświadczenie gotowi są przyjmować jako autentyczny wyraz dobrej woli, ale niechętnie dochodzą przyczyn leżących u podstaw bardziej napastliwych wypowiedzi.

Trudności w stworzeniu stałego, realistycznego obrazu naszych adwersarzy przyczyniły się do powstania dwóch rodzajów izolacjonizmu. Zwolennicy odmiany dziś już trochę anachronicznej żądają, by Stany Zjednoczone powstrzymały się od udziału w polityce światowej, ponieważ państwo uważane za mocarstwo nie powinno kłaść swego imienia angażując się w sprzeczki i spory innych krajów. Nowszy i bardziej popularny pogląd głosi, że nie powinniśmy ingerować w sprawy świata, gdyż pociąga to za sobą bardzo negatywną ocenę amerykańskiego społeczeństwa. Klęska w Wietnamie stała się główną przyczyną zjednoczenia i legalizacji wszystkich ugrupowań izolacjonistów, a w szczególności tych, których członkowie pragną ocalić świat przed amerykańskimi wpływami przynoszącymi rozkład moralny. Reformy Gorbaczowa i szanse na porozumienie w kwestii rozbrojenia stanowią najnowszy argument za ograniczeniem ingerencji Stanów Zjednoczonych w konflikty międzynarodowe dla tych, którzy z zadowoleniem przyjęliby wspomniane redukcje. Jednak problem oceny właściwej motywów działania i polityki naszych wrogów, głównie Związku Sowieckiego, nie zniknie w najbliższej przyszłości.

Podstawą różnych odmian izolacjonizmu oraz pełnego nadziei oczekiwania na osiągnięcie porozumienia w stosunkach międzynarodowych stanowi poczucie bezpieczeństwa w zasadzie nienaruszone przez doświadczenia historyczne i jak dotychczas poparte warunkami geografi-

cznymi. Instynktownie boimy się przyznać, że przeciwnicy mogą czy pragną nas skrzywdzić, a nawet, że w ogóle mamy jakichkolwiek prawdziwych wrogów, których nie uda się przeciągnąć na naszą stronę, z którymi nie sposób negocjować kierując się zdrowym rozsądkiem i przyzwoitością, którym nie można uświadomić, że ich nieprzyjazna postawa jest pozbawiona sensu. Takie nastawienie, jeśli w końcu je spostrzeżemy, skłonni jesteśmy uznać za wynik naszej niewłaściwej percepcji i niezrozumienia.

Wszystkie te czynniki sprawiają, że w amerykańskiej polityce zagranicznej dominują pobożne życzenia, co w konsekwencji prowadzi do fałszowania obrazu rzeczywistości.

Takie stanowisko zaprezentował w niezwykle sposób senator Paul Simone, jeden z kandydatów na prezydenta z ramienia Demokratów. Na zebraniu politycznym "...jeden z uczestników stwierdził, że jest już zmęczony ciągłym mówieniem o przeciwnikach Ameryki. Podkreślił, że kraj nie ma wrogów. Simon... /odparł/: "Tak, tak... Istnieje możliwość, że Związek Sowiecki jest naszym adwersarzem... Jakaś paranoja kryje się zarówno po jednej jak i drugiej stronie. Powinniśmy zrozumieć się nawzajem". Gdyby Ronald Reagan był kiedyś na stypendium w Moskwie "przypuszczam, że żylibyśmy dziś w zupełnie innym świecie".¹¹

Przyczyn niezrozumienia naszych przeciwników należy upatrywać również w rozbijającym, a zarazem obojętnym poczuciu winy członków ugrupowań lewicowych. W ich litanii USA są bogatsze od większości swoich wrogów, straciły o wiele mniej ludzi w czasie II wojny światowej, były jedynym państwem, które użyło bomby atomowej; Stany Zjednoczone dawno już zdominowały i eksploatują do dziś Amerykę Środkową; zanieczyszczają środowisko w większym stopniu niż dopuszcza się według wyliczonych norm; chore społeczeństwo amerykańskie drażną poważne problemy - jak więc możemy być rzecznikami sprawiedliwości moralnej w sporach międzynarodowych? Nie zawsze też postępujemy z żelazną konsekwencją wobec rządów represyjnych. Najlepszym

tego przykładem jest ostatni wybuch Arthura Schlesingera jun.:

"Czyż my, Amerykanie, nie jesteśmy bandą oszustów? Bezustannie głosimy nasze oddanie sprawie demokracji i prawom człowieka. Wciąż ganimy resztę świata za łamanie zasad wolności i uczciwości, które my sami bez wątpienia stosujemy /czy aby na pewno?/. Przy tradycyjnym samozadowoleniu i przerażającej niewiedzy o samych sobie, nie zauważamy pewnego faktu, oczywistego dla innych, że nasza troska o demokrację jest, oględnie mówiąc, cząstkowa i uzależniona od sytuacji".²

Istota wyводу Schlesingera zawiera się w rozumowaniu, że dopóki Stany Zjednoczone nie spróbuja stworzyć demokracji na Haiti, nie powinien przeszkadzać im system komunistyczny w Nikaragui.

Jeśli nasze wewnętrzne, wpływające z tradycji kulturalnej trudności w uchwyceniu charakteru oraz intencji przeciwników połączą się z ich systematycznymi wysiłkami w celu stworzenia swojego dalekiego od rzeczywistości obrazu, przed amerykańską polityką zagraniczną pojawią się nie lada kłopoty. Przez długi czas była to cecha charakterystyczna kontaktów ze Związkiem Sowieckim, a ostatnio także z Nikaraguą. Stosunek społeczeństwa amerykańskiego do Sowieców oscyluje /często zupełnie zaskakująco/ od serdeczności, entuzjazmu i uznania wspólnoty interesów do niechęci wynikłej ze wstrząsającego odkrycia zakłamania, terroru wewnętrznego i agresji zbrojnej /co dało się zauważyć w bezmiernej konsternacji Cartera po ataku Sowieców na Afganistan, który poprzedziło wspólne z Breżniewem poszukiwanie błogosławieństwa Bożego, czy też w rozczarowaniu Kongresu spowodowanym podróżą Daniela Ortegi do Moskwy, co na jakiś czas zachwiało gorącą wiarę w dobre intencje i niezależność jego polityki/.

Wśród przykładów ilustrujących pełne zakłamania i zarazem naiwności nasze stosunki z rządami komunistycznymi wyróżnia się jeden - nawet wzięwszy pod uwagę poziom przebiegłości we współczesnej polityce. Chciałbym wspomnieć o nieznannej szerzej historii organizowa-

nych specjalnie dla zachodnich gości wycieczek do więzień w krajach komunistycznych.

Wizyty w więzieniach stanowiły część programu wycieczek politycznych zapoczątkowanych przez Związek Sowiecki w latach dwudziestych /i ukształtowanych przez dostojną tradycję "Wsi potemkinowskich" z wcześniejszego okresu/. Podczas tych wypraw idealistycznie nastawieni mieszkańcy Zachodu, głównie intelektualisci i duchowni, zwiedzali ubogie kraje, w których stosowano nad wyraz surowe represje i powróciwszy wystawiali niezwykle osiągnięcia tych państw.³

Oklaskiwano kolejne więzienia w Związku Sowieckim /za Stalina/, w Chinach /za Mao/, na Kubie /za Castro/ oraz w niedawno utworzonych państwach komunistycznych - Wietnamie i Nikaragui. Za każdym razem owe entuzjastyczne opinie podważają byli więźniowie, których zeznania świadczą o tym, że tamtejsze systemy więzienne są w rzeczywistości wyjątkowo potworne.

W jaki sposób można wytłumaczyć sprzeczność informacji w wielu przypadkach po upływie właściwego czasu potwierdzonych, niekiedy wzbogaconych i uzupełnionych przez władze wspomnianych krajów? Wyjaśnienia należy szukać w połączeniu szczegółowo opracowanego kłamstwa z jednej strony i spontanicznej gotowości do oszukiwania samego siebie z drugiej. /Jak wyznał były chiński przewodnik jednemu z pielgrzymów: "Chcieliśmy cię oszukać. Ale i ty chciałeś być oszukany"/.⁴

Znaczenie trwałego zainteresowania więzieniami komunistycznymi jest trojakiego rodzaju. Po pierwsze - stanowi kolejne świadectwo, jak wielką wagę przywiązują koła rządzące w tych krajach do wywarcia odpowiedniego wrażenia na wybranych gościach zagranicznych, a poprzez nich na całą zachodnią opinię publiczną. Po drugie - pozytywne relacje mają wpływ na poglądy kół elitarnych odgrywających ważną rolę w społeczeństwach zachodnich. Po trzecie - okazywana naiwność i potężna wola wiary pozwala poznać struktury społeczne i kultury polityczne reprezentowane przez turystów.

To właśnie w Związku Sowieckim, a także w krajach znajdujących się pod jego wpływem, przezeń inspirowa-

nych i zdominowanych, została opracowana nadszczegółowa technika gościnności, podporządkowana jasno określonym celom politycznym. Skwapliwie z niej skorzystali przywódcy państwowi, którzy jednakowo wierzyli w siłę pocisków i w moralno-historyczną wyższość swoich społeczeństw. Przy takiej postawie zadanie przekonania obcokrajowców o zaletach reżimów komunistycznych stało się sprawą najwyższej wagi.

Doktryna politycznej gościnności wykorzystywana w praktyce zaczęła przypominać tezy realizmu socjalistycznego - oficjalnej sowieckiej teorii dotyczącej literatury i sztuki. Zgodnie z nimi artysta musi uchwycić i przedstawić rzeczywistość w momencie jej kształtowania. Nie należy ukazywać średniej statystycznej istniejącego stanu rzeczy ani zwykłego odbicia świata realnego, lecz sposób jego powstawania oraz jakim powinien być. A więc twórca musi wysłowić "typowe", a zatem zlikwidować granicę pomiędzy "jest" a "powinno być". Znikające zjawiska społeczne można z całym spokojem zignorować, na uwagę zasługują jedynie te, które niosą w sobie obietnicę przyszłości.

Istotną cechą techniki politycznej gościnności stanowi zasada: przyjeżdżającym gościom należy prezentować takie elementy rzeczywistości, które świadczą o rozwoju i ukazują największe osiągnięcia nowego porządku społecznego, być może wyjątkowe dziś, ale nie jutro. Dlatego kłamstwo przekształca się w celowy pokaz wywierających największe wrażenie i teoretycznie najistotniejszych cech nowego społeczeństwa.

Wszystkie warunki niezbędne dla sukcesu polityki zakłamania zostały spełnione przez Związek Sowiecki /jak również przez inne kraje, o których mowa poniżej/: gotowość elity do stosowania kłamstwa jako sposobu osiągnięcia przyszłych - jakże ważnych - celów politycznych, uległa i posłuszna większość społeczeństwa oraz kontrola środków potrzebnych do prowadzenia takiej polityki. I wreszcie rzecz nie mniej istotna - wielu oszukiwanych gotowych było na przyjęcie informacji, które pragnęli przekazać gospodarze. Oszukiwanie siebie i kłamstwo złączyły się ze sobą i wzajemnie wsparły.

W turystyce politycznej naszego stulecia można wyróżnić cztery główne etapy: sowiecki, zapoczątkowany w latach dwudziestych, ze swoim apogeum w połowie lat trzydziestych; chiński, od końca lat sześćdziesiątych do połowy lat siedemdziesiątych; kubański, zainicjowany w latach sześćdziesiątych, o wyraźnych tendencjach spadkowych w latach siedemdziesiątych oraz nikaraguański z lat osiemdziesiątych. Do innych często odwiedzanych państw zaliczał się Wietnam Północny w czasie wojny, a po jej zakończeniu Wietnam komunistyczny. We wszystkich tych przypadkach prawdziwy powód pielgrzymek i wycieczek stanowiły problemy nurtujące społeczeństwa, z których wywodzili się turyści; w latach trzydziestych przyczyną był kryzys, w sześćdziesiątych wojna w Wietnamie, zamieszki na tle rasowym /w USA/, a także tragedia "jałowego dostatku". Powszechne uznanie Nikaragui jako azylu idei socjalistycznych, co nastąpiło w latach osiemdziesiątych, zbiegło się z dwukrotnym wyborem Ronalda Reagana na stanowisko prezydenta i wywołanym /bądź zintensyfikowanym/ za jego przyczyną poczuciem alienacji, które opanowało amerykańską inteligencję, duchowieństwo i część klas średnich.

Z biegiem czasu modyfikowano główne elementy politycznej gościnności. Należały do nich: starannie przygotowany program, różne stopnie pochlebstwa oraz spełnianie oczekiwań gości. Do dalekosiężnych planów politycznych bezwzględnie należało wykorzystać naturalną skłonność człowieka, której trudno się nie poddać, do uogólniania własnych doświadczeń. To cecha szczególnie charakterystyczna dla intelektualistów, którzy z przeżyć jednostkowych /często ograniczonych/ wyciągają wnioski ogólne.

Aby generalizację można było wykorzystać dla celów politycznych, muszą zostać spełnione dwa warunki: program pobytu gości musi być starannie przygotowany, a cała wizyta przyjemna. Zazwyczaj ludzie, którzy traktują nas z uprzejmością, wywierają dodatnie wrażenie. Na podobnej zasadzie trudno uwierzyć, że ci, którzy odnoszą się do nas tak przyjaźnie, mogą być niemili dla

dla innych. Krytyka wielkodusznych gospodarzy wywołuje poczucie zdrady.

Na korzyść politycznej gościnności działa również wewnętrzny charakter przeżycia jednostkowego i podbudowana bezpośrednim udziałem wiara w autentyczność. Każdy posiada nienaruszalne prawo do traktowania swoich doświadczeń osobistych jako wiarygodnych, a uogólnień i sądów z nich wypływających jako prawdziwych - nawet jeśli pokazuje się mu wzorcowe więzienie w państwie policyjnym.

Jeśli turyści posiadają odpowiednie predyspozycje, technika gościnności ogranicza się do ukierunkowania percepcji, wprowadzenia nowych kryteriów i definicji kontekstualnych /proces, w wyniku którego poszczególne wydarzenia i zjawiska określa kontekst całkowity, a nie ich cechy zewnętrzne/, co pozwala na zmniejszenie wagi doświadczanych przeżyć.

Zasadę tych procesów myślowych najlepiej obrazuje reakcja amerykańskiego gościa na Kubie na wiadomość, że u 15% pacjentów szpitala psychiatrycznego przeprowadzono zabieg leukotomii - "musimy przyznać, że w socjalizmie leukotomia odgrywa zupełnie inną rolę... Jest to leukotomia socjalistyczna".⁵ W podobnym duchu wypowiedział się sympatyk Nikaragui: "sprawa cenzury - nie wolno drukować pewnych artykułów w gazetach, ale można pisać i mówić wszystko, dopóki nie zamierza się tego opublikować w prasie".⁶ Problem aresztowań według biskupa Jamesa Armstronga i wielebnego Russell'a Dilley'a ze Zjednoczonego Kościoła Metodystów przedstawia się następująco: "...istnieje znacząca różnica pomiędzy więzieniem bojowników o sprawiedliwość społeczną /jak na przykład w Chile i Brazylii/, a stosowaniem tej samej kary wobec osób walczących przeciwko rządowi, których celem jest zlikwidowanie niesprawiedliwości /jak na Kubie/⁷ A siostra Mary Hartman, amerykańska zakonnica, która przewodzi /nikaraguańskiej/ rządowej Komisji do spraw Praw Człowieka, usprawiedliwia przemoc turba /motłochu/ w stosunku do dysydentów, ponieważ skierowana jest "wyłącznie przeciwko ludziom, którzy

popierają Stany Zjednoczone".⁸

Świetny przykład uwieńczonej pełnym sukcesem mistyfikacji w historii oszustwa stanowi sowiecka wizyta Henry'ego Wallace'a i Owena Lattimore'a w regionie zamieszkałym w owym czasie wyłącznie przez więźniów przebywających w obozach pracy przymusowej i ich strażników. Wallace wyjechał stamtąd zupełnie nieświadomy charakteru "zatrudnionych robotników", chwalił pionierski zapał przyświecający dokonywanym przedsięwzięciom. Jeśli mowa o wkładzie maoistowskich Chin w rozwój techniki politycznej gościnności, wspomnieć należy o częstym organizowaniu wizyt zachodnich biznesmenów 10 u bogatych, dobrze prosperujących zreedukowanych kapitalistów. A całkiem niedawno przywódcy Nikaragui oświadczyli, że "turystykę polityczną podnieśli do rangi sztuki".¹¹ Wprowadzili oni pewne innowacje do techniki politycznej gościnności, których przykładem jest system dwóch gabinetów Tomasa Borge:

"Borge posiada dwa różne biura. Jedno mieści się w budynku Silvio Mayorga i służy do przyjmowania delegacji kościelnych i członków partii demokratycznych. Znajdują się w nim zdjęcia dzieci, pozłacane, rzeźbione krucyfiksy oraz jedna czy dwie Biblie. Przed spotkaniem z delegacjami kościelnymi Borge zazwyczaj uczy się na pamięć paru wersetów z Biblii, aby je później zacytować... Jego prawdziwy gabinet, gdzie wypełnia obowiązki ministra spraw wewnętrznych mieści się... na Bello Horizonte... W tym pokoju trudno znaleźć krucyfiksy czy Biblie - jedynie klasyka marksistowska oraz wizerunki Marksa, Engelsa i Lenina".¹²

Wydaje się zrozumiałe, że wysiłki podjęte przez represyjne systemy państwowe mają na celu nie tylko zamaskowanie polityki przymusu, ale wręcz przedstawienie jej w zupełnie innym świetle, czemu służą fikcyjne zakłady karne przeznaczone dla oczu zagranicznych turystów. Te formy kłamstwa wykształciły się w Związku Sowieckim za Stalina, podobne praktyki zrodziły się w maoistowskich Chinach, na Kubie za Castro, w Wietnamie lat osiemdziesiątych i całkiem niedawno w Nikaragui. Oczywistym celem wszystkich omawianych przedsięwzięć

było przekonanie specjalnie dobranych gości o humanitarnym traktowaniu więźniów, a także moralnej wyższości całego systemu, który poszczycić się może polityką resocjalizacji.

Być może najbardziej zaskakującym przykładem podatności na te oszustwa jest przypadek G.B.Shawa, szczególnie godny uwagi ze względu na cyniczno-sceptyczną postawę pisarza. Oto, w jaki sposób przedstawił sowiecki system resocjalizacyjny

"W Anglii przestępca idzie /do więzienia/ jako zwykły człowiek, a wychodzi jako "kryminalista", podczas gdy w Sowietach idzie... jako kryminalista, wyszedłby jako zwykły człowiek, z tą różnicą, że trudno go skłonić do wyjścia. O ile mogłem się zorientować wolno przebywać tam jak długo się zechce".¹³

Większość zagranicznych gości zwiedzających zakłady karne w latach trzydziestych była nie tylko pod wrażeniem sowieckiego "systemu poprawy", lecz także celów mu przyświecających. Dr J.L.Gillin, były prezes Amerykańskiego Towarzystwa Socjologicznego, "jeden z największych autoritetów w dziedzinie więziennictwa w Stanach Zjednoczonych" zanotował: "Zgodnie z duchem rewolucji odrzucono wyrażenia obowiązujące w nomenklaturze penitencjarnej krajów kapitalistycznych. Nie ma =zbrodni=... Nie ma =kary=. są tylko =środki obrony społecznej=..." Brytyjskiemu politologowi, Haroldowi Laski'emu, udało się porównać społeczno-deterministyczne, wywołane wpływem środowiska podejście do tej kwestii, jakie przeważa w Związku Sowieckim z poglądami dominującymi w Wielkiej Brytanii. "Najważniejszą zasadą... jest zmuszanie do wysiłku poprzez twórcze organizowanie czasu wolnego, aby zapobiec degeneracji charakterów, jakże częstej w zwykłych społeczeństwach więziennych..."¹⁵ Anna Louise Strong, znana amerykańska entuzjastka ZSSR napisała, że sprawiedliwość sowiecka "stawia sobie za cel stworzenie kryminalistom nowego środowiska, w którym zaczną funkcjonować w normalny sposób jako w pełni odpowiedzialni obywatele nowego państwa. Im mniej ograniczeń, tym lepiej; im mniej więźniowie czują się kryminalistami, tym lepiej".¹⁶

Sidney i Beatrice Webb stwierdzili, że "o administracji /więziennej/ mówi się dobrze, widać wyraźnie, iż jak prawdopodobnie dzieje się w każdym innym kraju nie stosuje ona obecnie przemocy fizycznej". Na szereg ich opinii wpłynęła przypuszczalnie wizyta w Bolszewie - najczęściej zwiedzanym więzieniu wzorcowym. Określili je jako "wspaniale zreformowaną instytucję, która zarówno pod względem obietnic, jak i osiągnięć w sferze właściwego traktowania przestępców społecznych znacznie wyprzedza podobne placówki na świecie".¹⁷

Wiele zakładów, które zwiedzili zachodni entuzjaści z pozoru pozbawionych było murów, drutów i wież strażniczych. Goście wyciągali z tego wnioski, że najwyraźniej system więzienny opiera się na zaufaniu. Państwo Lamont dowiedzieli się od skazanych, że nie czują się tutaj jak w zakładzie karnym.¹⁸ Lenka von Koerber, niemiecka studentka zajmująca się więziennictwem sowieckim, zapytała jednego z pracowników: "Czy zdarzają się przypadki niezadowolenia wśród skazanych?" Odpowiedziano jej: "Oczywiście, czasami, ale bardzo rzadko. Nasi więźniowie mogą swobodnie składać skargi".¹⁹

Niemal każdy aspekt sowieckiego systemu więziennictwa wzbudzał entuzjazm gości. Najgoręcej podziwiano organizację szkolnictwa, rekreacji i życia kulturalnego. Więźniom zapewniano na przykład absolutny spokój w czytelnich, które były zaopatrzone w gazety codzienne, czasopisma i książki. Jeśli przedstawienie teatralne nudziło publiczność, proszono kółko dramatyczne o staranniejszy wybór repertuaru.²⁰ Pensjonariuszom podobały się zajęcia z przedmiotów humanistycznych i zawodowych, gimnastyka, lektury, przedstawienia teatralne, koncerty wykonywane przez więźniów dla więźniów oraz wydawana gazeta, w której bez obaw mogli wyrażać swe niezadowolenie.²¹

Również władze maoistowskich Chin dążyły do przedstawienia wybranym gościom swojego programu resocjalizacji we właściwym świetle. I mimo wcześniejszej demisyfikacji sowieckich pokazów, zachodni turyści jechali do tego kraju bez większych uprzedzeń.

Pozytywnie nastawieni zachodni intelektualiści systemem penitencjarnym w ChRL odebrali prawie w ten sam sposób, co ich poprzednicy sowiecki z lat dwudziestych i trzydziestych, z tą różnicą, że wobec rewelacji o praktykach w ZSRR, polityka chińska została uznana za lepszą. Według Simone de Beauvoir "Chińczycy z uwagą zanalizowali działalność swojego prekursora, aby nie powtórzyć jego błędów... Odmienność od systemu stalinowskiego jest wyraźna, gdyż nie stosuje się internowania jako środka prewencyjnego".²² Chińczycy, podobnie jak pierwsi reformatory sowieccy, podkreślali znaczenie resocjalizacji, terapii poprzez pracę i humanitarnego traktowania więźniów zamiast stosowania kar. Władze obu krajów żarliwie głosiły, że całkowity powrót skazanych do społeczeństwa jest ich celem najwyższym. Corlis Lamont /podobnie i inni/ nie miał żadnych trudności z przeniesieniem pozytywnych opinii o sowieckim więziennictwie na chiński system penitencjarny: "W Chinach - donosił - mimo, że panuje dyktatura do przeciwników się nie strzela, lecz ich reedukuje".²³

Simone de Beauvoir zanotowała:

"Osobiście widziałam jeden zakład karny... Ten w Pekinie nie jest więzieniem wzorcowym... Zresztą wszystkie centralne zakłady w Chinach są takie same... Tutaj - znajduje się wśród drzew /tworzących rodzaj parku/; przy bramie zewnętrznej stoją na straży dwaj żołnierze, natomiast w środku nie widać wartowników, ani strażników czy nadzorców - jedynie nieuzbrojonych wychowawców ubranych po cywilnemu. Pełnią oni funkcję oddziałowych oraz instruktorów politycznych i kulturalnych".²⁴

Pierre Trudeau /były premier Kanady/ i Jacques Hebert najwyraźniej zwiedzali opisany przez Simone de Beauvoir zakład karny, gdzie tylko jeden wartownik stał na straży, a wewnątrz "wita nas ogród pełen zieleni i pięknych, pachnących drzew. I to ma być więzienie?" Również i oni wspomnieli o braku krat. Również i oni wysłuchali wykładu o procesie resocjalizacji.²⁵ Były więzień, Bao Ruo Wang, stwierdził, że pekiński kryminal, zakład penitencjarny numer jeden, należał

do "największych atrakcji typowej wycieczki po stolicy dla turystów zagranicznych".²⁶

Na początku lat sześćdziesiątych kolejnym uprzywilejowanym gościem, który mógł przyjrzeć się chińskim zakładom karnym był Felix Greene. Zauważył on, że "Chińczycy dokonują tego, czego od dawna bezskutecznie domagamy się od władz angielskich. Nie ograniczają się do kary więzienia, lecz starają się też pozostawić moralne piętno na skazańcu". Ze zdumieniem i satysfakcją odnotował nieobecność strażników, otwarte bramy, niskie mury, brak zamków w drzwiach i krat w oknach, a także panującą atmosferę przyjemnego relaksu.²⁷ Audrey Topping, która w 1973 roku odwiedziła podobną instytucję w Nankinie napisała, że "Chińczycy tępią przestępczość z takim samym żywiołowym entuzjazmem o zabarwieniu politycznym, z jakim zwalczają głód". Z uznaniem wypowiadała się o programie resocjalizacji opartym na "uświadomieniu społecznym i pracy".²⁸

Całkiem niedawno groteskowy spektakl - wizyta przychylnych gości i wystawianie przez nich sowieckich czy chińskich obozów pracy przymusowej - został ponownie odegrany w komunistycznym Wietnamie. Okazją stała się wycieczka do "obozu poprawy" zorganizowana dla amerykańskiej delegacji kościelnej. Podobnie jak poprzednicy, turyści byli krytycznie ustosunkowani do własnego narodu /w tym wypadku amerykańskiego/, ubolewali nad prowadzoną przez ich rząd polityką wobec kraju gospodarzy, a także z uznaniem odnosili się do nowego systemu społecznego.

Następujące cytaty zostały zaczerpnięte ze sprawozdania, jakie grupa ta złożyła podkomisji Kongresu Stanów Zjednoczonych. Wśród nich znajdują się wypowiedzi doktora Paula F. McCleary'ego, szefa Światowej Służby Kościołowi, Midge'a Austina Meinertza - prezesa południowoazjatyckiej sekcji tej organizacji oraz doktora Harry'ego Haines'a - przewodniczącego Komisji do spraw Pomocy Ubogim przy Zjednoczonym Kościele Metodystów. W raporcie zanotowali:

"W samym obozie, poza małą budką wartowniczą przy bramie, nie było wież strażniczych, drutów kolczastych, ani żadnych tradycyjnych elementów więziennego krajo-
brazu... Zwróciliśmy uwagę, że skazani wyglądali na odpowiednio odżywionych i cieszyli się dobrym zdrowiem. Kiedy zadaliśmy bezpośrednie pytanie o kary dla ewentualnych zbiegów, komendanci obozu zapewnili, że nie stosuje się żadnych... Podkreślili jednocześnie, że choć wyeliminowano kary, więźniów często nagradza się za dobre sprawowanie /dodatkowym przydziałem papierosów, mydła, ręczników itp./".

"Kiedy weszliśmy do głównej części więzienia w kształcie litery "u", mężczyźni siedzieli na pryczach, bądź rozmawiali w małych grupkach, grali w karty, brzdąkali na gitarach lub palili własnoręcznie wykonane nargile... Zapytaliśmy o ograniczenia związane z ilością przedmiotów osobistych, jakie przysługują pensjonariuszom; dowiedzieliśmy się, że nie ma żadnych..."

Do zaplecza socjalnego obozu zaliczały się: narzędziownia, stolarnia, jadalnie; znajdowały się tam również ogrody. Kwiaty w wazonie z pomalowanej puszki i inne drobiazgi przyciągały wzrok. Wniosek narzucał się sam - system reedukacji odzwierciedla zaangażowanie rządu w sprawę przywrócenia skazanych do społeczeństwa, aby mogli uczestniczyć w przyszłości Wietnamu jako pełnoprawni obywatele.

Przykłady niewiary w złe traktowanie więźniów przez władze wietnamskie można by mnożyć. Krytycy polityki Stanów Zjednoczonych w czasie wojny - zazwyczaj entuzjaści Wietnamu Północnego - uparcie twierdzili, że amerykańscy jeńcy wojenni mają zapewnione godziwe warunki życia. Richard Falk napisał, że zainteresowanie położeniem jeńców zostało celowo i cynicznie wzbudzone przez administrację Nixona. Na tej samej zasadzie kolejny krytyk społeczny, przeciwnik wojny - David Dellinger powołał się na "Mistyfikacje w kwestii jeńców wojennych", a Richard J. Barnett z Instytutu Badań Politycznych oświadczył, że "dowody złego traktowania są wysoce podejrzane". Ze swej strony władze Wietnamu Północnego zrobiły wszystko, co możliwe, by umocnić

wiarę w ich humanitarną postawę wobec schwytych żołnierzy, z którymi organizowano często pokazy dla przychylnych Wietnamczykom delegacji amerykańskich. W rezultacie "po powrocie z Hanoi /Ramsey/ Clark zapewnił komisję Kongresu..., że jeńcy, których widział, mieli zapewnione dobre warunki, mogli zażywać ruchu, dostawali do jedzenia wszystko, czego sobie zażyzyli..."³⁰

W 1984 roku, podczas swojej podróży na Kubę wielebny Jesse Jackson został wprowadzony do wzorcowego zakładu karnego. Z relacji dziennikarza:

"Placówka, którą oglądał wielebny Jesse Jackson była czysta, odnowiona, więźniowie grali w baseball - scenka, jak powiedział były pensjonariusz "daleka od prawdziwego obrazu życia w kubańskich więzieniach"."

"W dniu wizyty pana Jacksona zebrano pospiesznie zwykłych więźniów, rozdano im nowe ubrania, sprzęt do baseballa i kazano grać... "jak tylko opuścił on /Jackson/ zakład, odebrano piłki, kije i mężczyźni powrócili do swoich cel". Tak staranne przygotowania, specjalne wyżywienie i "dodatkowe atrakcje w postaci Kool-Aid" należą do rutynowych czynności przed przybyciem zagranicznych delegacji do kubańskich zakładów karnych, co potwierdził pan Noble /były więzień/".

Dodał on, że "nigdy nie gramy w baseball, jedynie jak przyjeżdża wycieczka. Grupę, która występuje nazywamy "drużyną pokazową"". W dniu zwolnienia "wielu skazanych mogło p o r a z p i e r w s z y o d p r a w i e d w u d z i e s t u l a t w ł o ż y ć k o s z u ł e..."³¹

Nie budzi zdziwienia fakt, że komunistyczne władze w Nikaragui, tak jak sowieckie, chińskie, kubańskie i wietnamskie przed nimi, doceniają korzyści płynące z organizowania wycieczek do więzień.

Duchowni amerykańscy zwiedzający Nikaragwę w 1983 roku relacjonowali: "wizytowany przez nas zakład stanowił jedno z siedmiu więziennych gospodarstw. Byłych członków Gwardii Narodowej chętnych do współpracy przenosi się do placówek o coraz mniejszym rygorze. We wspomnianym zakładzie przebywało trzydziestu ośmiu więźniów, nie widzieliśmy tam uzbrojonych wartowników. Żonom ska-

zanych wolno odwiedzać mężów". Jeden z pensjonariuszy "wychwalał rząd i zapewniał, że po zwolnieniu poszedłby walczyć w szeregach Frontu Wyzwolenia Narodowego na północy. Pieniądze z uprawy zbóż przeznaczają się na udoskonalanie zakładów... Zgodnie z regulaminem więźniowie uczęszczają na lekcje pisania i czytania oraz na zajęcia z rolnictwa. Wielu z tych, którzy dotychczas umieli tylko strzelać, chce uprawiać ziemię..."³²

Günter Grass, sławny pisarz niemiecki, znany krytyk Stanów Zjednoczonych wziął udział w specjalnej wycieczce, którą oprowadzał sam Tomas Borge - przywilej zarezerwowany dla ważnych gości /dostąpiła tego zaszczytu również grupa filmowców kanadyjskich przygotowujących niezwykle entuzjastyczny dokument o nikaraguańskim ministrze spraw wewnętrznych/. Grass zanotował:

"Mogliśmy przeczytać, że w Nikaragui są więźniowie polityczni, co oczywiście oznacza członków Gwardii Narodowej, którzy dopuścili się zbrodni wobec społeczeństwa... Zapytaliśmy o nich, na co Tomas Borge, sekretarz stanu... natychmiast zaproponował zwiedzenie zakładu karnego w Tipitopa... Różni się on od somozowskich katowni humanitarnym traktowaniem skazanych... Żyje tu kilkuset byłych gwardzistów..., którzy odsiadują od trzech do trzydziestu lat. Nie ma kary śmierci. Więźniowie pracują od poniedziałku do piątku, wybudowano dla nich szpital i dwa nowe zakłady z większymi celami. Soboty i niedziele zarezerwowane są na odwiedzi-ny najbliższych, którzy mogą przychodzić co tydzień i przebywać trzy - cztery godziny. Znajdują się tam również pokoje... dla małżeństw, którym zezwala się na tzw. intymne spotkania".

"Gdybyśmy chcieli wziąć odwet /powiedział Borge/ zwycięzilibyśmy dzieło rewolucji, której celem jest wyrzeczenie się zemsty... W tym małym, słabo zaludnionym kraju, gdzie słowa Chrystusa odczytuje się dosłownie, rewolucja sandinistów daje całkiem inny przykład"³³

Nikaraguański system karny pochwalił /podobnie jak niegdyś sowiecki/ kryminolog z USA, który pojechał do tego kraju, aby sprawdzić "ile prawdy kryje się" w pogłoskach o niewłaściwym traktowaniu skazanych. Zaskoczony był humanitarnymi warunkami oraz postawą admi-

nistracji więziennej i powrócił przekonany, że "Stany Zjednoczone powinny zastosować niektóre z tamtejszych metod resocjalizacji, a także przejąć sposób postępowania z więźniami..."³⁴

We wrześniu 1986 roku Stała Nikaraguańska Komisja do spraw Praw Człowieka wydała następujące oświadczenie:

"Tzw. Granias de Regimen Abierto czyli "Gospodarstwa penitencjarne o otwartej regule" są to zakłady stworzone dla celów propagandowych, gdzie niewielka /w porównaniu z tysiącami więźniów politycznych w innych placówkach/ liczba pensjonariuszy rzeczywiście żyje w dobrych warunkach. Większość skazanych trafiła tam za cenę współpracy ze służbą bezpieczeństwa... Międzynarodowe delegacje, które odwiedzają te ośrodki widzą "szczęśliwych i pełnych wdzięczności" ludzi... w niektórych przypadkach organizuje się dla gości przedstawienia artystyczne, w trakcie których więźniowie śpiewają i tańczą.

Istnieje jednak inny rodzaj zakładów karnych w Nikaragui, do których wstęp organizacjom zagranicznym jest wzbroniony... Są to kazamaty służby bezpieczeństwa - jedne z najstraszniejszych w Ameryce Łacińskiej, gdzie więźniowie istnieją jedynie jako numery, trzymają się ich w odosobnieniu, w ciemnych celach, odizolowanych /od reszty współwięźniów/, żywność i wodę dostarcza się nieregularnie, w zależności od "chęci współpracy"... tortury psychiczne, fizyczne, a także stosowanie narkotyków podczas przesłuchań są na porządku dziennym".³⁵

Do największych curiosów ubiegłego półwiecza należy podziw ze strony intelektualistów dla wyjątkowo brutalnych systemów politycznych oraz szczególnie zachwyty nad najbardziej represyjnymi instytucjami - więzieniami i obozami pracy przymusowej. Osobnego komentarza wymaga regularne wydawanie uderzająco błędnych politycznie ocen i łatwość, z jaką przyjmuje się za prawdę widowiskowe kłamstwa, mimo kolejnych rozczarowań w stosunku do poszczególnych systemów społecznych.

Od początku lat dwudziestych w społeczeństwach zachodnich, wśród intelektualistów i ludzi, którzy własną kulturę i środowisko społeczne winią za klęskę ideałów i pragnień, panuje coraz większe poczucie sfrustrowania i alienacji. Ukształtowanie się i trwałość takich postaw pomaga wyjaśnić wiarę w obietnice każdego wcielenia idealizmu rewolucyjnego, sprawiedliwości społecznej i odrodzenia się jednostki. Jak wynika z niniejszego artykułu, podatność na nowe idee pozwala na stworzenie /z niewielką pomocą organizatorów wycieczek politycznych/ łatwego do zaakceptowania, wyidealizowanego obrazu najbardziej przerażających instytucji, jakie społeczeństwa "socjalistyczne" powołały do życia.

Jedynie wysoki stopień alienacji oraz wrogość w stosunku do swoich krajów i związana z tym potrzeba wiary może wytłumaczyć naiwność pielgrzymów i turystów politycznych. Trudno było ich posądzić o prostoduszność, czy łatwowierność, biorąc pod uwagę sceptycyzm i cynizm, z jakim demaskowali fałsz i oddzielali pozory od rzeczywistości, gdy rozprawiali się z własnymi społeczeństwami. Osłabienie zdolności krytycznego osądu wymaga specjalnego wyjaśnienia: powodu należy szukać w głębokim pragnieniu wiary. Głód duchowy niezaspokojony w naszym społeczeństwie i kulturze wzmacnia się od czasu do czasu i zostaje nasycony przez najbardziej wyrafinowane oszustwa we współczesnej historii.

Na nieszczęście w systemach politycznych, które po mistrzowsku wykorzystują nieświadomość i potrzeby obywateli państw zachodnich, zakodowana jest głęboko uwarunkowana ideologicznie nienawiść do USA i innych krajów Zachodu. Żłudne poglądy turystów wpłynęły na ukształtowanie w opinii publicznej fałszywego obrazu krajów komunistycznych, odwracając naszą uwagę od ich wrogiego nastawienia. W ten sposób iluzje, którymi karmimy się nieustannie przy ocenie przeciwników /Nikaragua jest jednym z ostatnich przykładów/ nadal oddziałują, a nawet podważają amerykańską politykę zagraniczną.

PRZYPISY:

1. Fred Barnes: "Pee Wee's Big Adventure", The New Republic, 5 października 1987, str. 27.
2. Arthur Schlesinger Jr.: "Yes, Washington. There is a Haiti", New York Times, 9 września 1987.
3. Paul Hollander, "Political Pilgrims: Travels of Western Intellectuals to the Soviet Union, China and Cuba", 1981, 1983.
4. Jonathan Mirsky, "Back to the Land of Little Red Lies", The Observer, 28 października 1979, s. 9
5. Ronald Radosh, "Cuba: A Personal Report", Liberation, styczeń 1974, str. 26.
6. Thomas J. Crowe. "Witness for Peace" Visits Nicaragua", Daily Hampshire Gazette, 9 maja 1984, s.33
7. "Time for Candor: Mainline Churches and Radical Social Witness", Institute for Religion and Democracy, 1983, str. 81.
8. Morton M. Kondracke, "Who Wants Peace?", The New Republic, wrzesień 1987, str. 18
9. Henry Wallace, "Soviet Asia Mission", 1946.
10. Robert Loh, "Setting the Stage for Foreigners", Atlantic, grudzień 1959.
11. Xavier Arguello, "The Writer as Tourist", The New Republic, 20 kwietnia 1987, str. 30
12. "Nicaragua's State Security: Behind the Propaganda Mask - An Interview with Alvaro Baldizon", Institute on Religion and Democracy, 1985, str. 2
13. G.B. Shaw, "The Rationalization of Russia", 1964, s.91
14. Jerome David, ed., "The New Russia", 1933, str.XI, 220.
15. Harold J. Laski "Law and Justice in Soviet Russia" 1935, str. 25.
16. Anna Louise Strong "This Soviet World", 1936, s.254
17. Sidney and Beatrice Webb, "Soviet Communism: A New Civilization?" 1936, str. 587, 588.
18. Corliss nad Margaret Lamont, "Russia Day by Day", 1933, str. 142.
19. Lenka von Koerber "Soviet Russia Fights Crime", 1934, str. 179.
20. Koerber, op.cit., str. 40,43,44-45.

21. Laski, op.cit., str. 28
22. Simone de Beauvoir "The Long March", 1958, s.388
23. Corliss Lamont "Trip to Communist China", 1976, s. 20-21.
24. Beauvoir, op.cit., str. 385.
25. Jacques Hebert and Pierre Elliot Trudeau "Two Innocents in Red China", 1968, str. 21-23.
26. Bao Ruo-Wang, "Prisoner of Mao" 1976, s. 99
27. Felix Greene, "Awakened China" 1961, s.55-56, 208-209
28. Audrey Topping. "Dawn Wakes in the East" 1973, s. 66-67.
29. "Time for Candor", op.cit., str. 63-67.
30. Guenter Lewy, "America in Vietnam" 1978, str.336-337
31. S.L.Nall, "Prisoner Says Cubans Fooled Jackson on Jail", Washington Times, 2 lipca 1983; Joel Brinkley "70 Innings of Baseball. Then Freedom", New York Times, 30 czerwca 1984, "Freed Prisoners Look Back in Anger..." Los Angeles Herald, 30 czerwca 1984.
32. Mimeographed Report by Fr. Bryan McNeil and Salvador Colon of the Diocese of Houston, listopad 1983, s. 9.
33. Martin Diskin ed., "Our Backyard" 1983, s. 246,247
34. In Stone, op.cit.
35. "Statement Regarding the Prison Situation", Nicaraguan Permanent Commission on Human Rights, wrzesień 1986, s. 1.

Tłumacz dziękuje nauczycielowi fizyki za pomoc.

Na okładce wykorzystano rysunek z "FOREIGN POLICY" NR 6
lato 1987, Waszyngton